Na Peloponezie

Florian Śmieja

NA PELOPONEZIE

W szczęśliwszych dla wojaży czasach

żyłeś Juliuszu

Mogłeś oglądać grób Agamemnona

i wydumać poemat o połowie walecznych.

Ja wiem, że grobu nie ma

żadnego poematu o narodzie

nikt nie napisze, o tych

co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie

przestali rodzić mężów o uczciwych sercach

i rękach czystych. Jakaś zaraza

stoczyła do cna ich dusze

skorumpowała plemię tak gruntownie

> że wstyd się dzisaj przyznać do Polaków
>
> tyle wśród nas niegodziwości i występku.

MYKENE

> Z tego miejsca strapiona Klitajmestra
>
> obserwowała feralne okręty
>
> powracającego Agamemnona
>
> inicjujac mityczną hekatombę
>
> Z jej warowni pozostały kamienie
>
> Przetrwała saga o okrutnym losie
>
> Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby
>
> niż ludzką ręką stawiane opoki.

HEGEMONIA

Peloponeska, jak wszystkie wojny,

także była o hegemonię.

Ludzi pokornych nie unosi pycha

oręża nie potrzebują zgodni.

To hardy głosząc samowolę

tryumfuje do czasu

zostawia labirynty, kazamaty

baszty w ruinie, kruszące się mury.

Czas ułagodził dzieje

niepewnej historii

pomieszał nieprzyjaciół.

> Przetrwały krwawiące maki
>
> i żółte kielichy, jaszczurki
>
> zwinne na kamieniach.
>
> Morza nadal chłodzą
>
> rozpaloną ziemię
>
> w pysznej iluminacji dnia.

KLĘSKA POD TERMOPILAMI

> Kiedy zajechaliśmy do Termopil
>
> słońce było już nisko a zostało
>
> jeszcze sporo drogi do hotelu.
>
> Więc sine pasma gór wyspy Eubei
>
> pamięć o trzystu hoplitach

> sprzed dwu mileniów
>
> zmęczonym turystom
>
> darował wyrozumiały przewodnik.

SALOMON

> Bardzo mądry był Salomon
>
> miał sto żon
>
> a wszystkie śliczne
>
> wabne lecz wyrozumiałe
>
> przeświadczone zapewne
>
> że egzotyczna Saba
>
> nie zawladnie sercem
>
> ich pana na długo.

> Dawno rozwiązały dylemat
>
> czy lepiej być jedyną
>
> nałożnicą osiłka
>
> czy kochać się w zorzy?

POWRÓT Z GRECJI

> Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi
>
> i w tyle pozostawił budzące się Ateny
>
> przestało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.
>
> Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,
>
> pewnego siebie biznesmena
>
> w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach
>
> prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli

> i o sukcesach swoich bogatych ziomków
>
> równie chytrych jak on ludziach interesu.
>
> A ja sądziłem, że w powietrzu
>
> człowiek ma tylko jedno zmartwienie:
>
> by wylądować bez szwanku.

Meandry miłości. Problematyka

powieści Zofii Romanowiczowej „Sono felice”.

Włodzimierz Wójcik

Florianowi Śmieji – profesorowi iberystyki

i poecie – z wyrazami
przyjaźni…

Zofia i Kazimierz Romanowiczowie w swoim ówczesnym paryskim mieszkaniu, przy rue Debelleyme, wrzesień, 1998 r, fot. Kubik.

I

Powieść *Sono felice* została ogłoszona drukiem w roku 1977. Wcześniej ukazały się następujące utwory prozatorskie Romanowiczowej: *Baśka i Barbara* (1956), *Przejście przez Morze Czerwone* (1960), *Słońce dziesięciu linii* (1963), *Szklana kula* (1964), *Próby i zamiary* (1965), *Łagodne oko błękitu* (1968),

Groby Napoleona (1972). Później w Bibliotece „Kultury” wydała *Skrytki* (1970) oraz *Na wyspie* (1984). Do tego dochodziły artykuły oraz przekłady poezji prowansalskiej. Wreszcie pisarka wydała drukiem kolejną – chyba już ostatnią – powieść *Ruchome schody* (1995).

Tak więc przywołana powieść jest dziełem pisarki o wieloletnim doświadczeniu twórczym. Jej dotychczasowe utwory powstawały i ukazywały się w druku w określonym rytmie, ale rytmie niespiesznym, co świadczy o jej doskonale uformowanym warsztacie.

Akcja powieści toczy się kilkanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Paryżu i w jego najbliższych okolicach. Rzecz przebiega, podobnie jak w klasycznym dramacie, w czasie krótszym, niż jedna doba. Od południa jednego dnia do piątej rano dnia następnego. Treść jest dość banalna i schematyczna. Kobieta wychodzi niespodziewanie z domu nie powiadamiając będącego w pracy męża. Wywołana przez telefon spędza kilka godzin ze starym przyjacielem, który – po latach niewidzenia – z Rzymu „wpadł” do stolicy Francji, aby zadać jej jakieś ważne, osobiste pytanie. Nad ranem – po kolacji w okolicach Notre Dame i drinkach z tańcami w jakiejś piwniczce – gość odlatuje do Włoch, kobieta wraca do domu. Zazdrosny mąż – jak się można domyślić – zabija ją kulą z Waltera.

Nic szczególnego, a jednak.

To, co najważniejsze mieści się w warstwie fabuły. W czasie przygotowań bohaterki Teresy do spotkania, i w czasie spotkania, w warstwie retrospektywnej dokonuje się poniekąd rekonstrukcja swoistej taśmy filmowej, porozrywanej, ale i sklejanej na nowo wedle chronologicznego porządku. Jak tedy wygląda ten ciąg fabularny?

Zofia Romanowiczowa, fot. archiwalna.

Oto kilka zdań na ten temat. Kilkunastoletnia Polka wychodzi z niemieckiego łagru w Bawarii. Przez pewien czas – podobnie jak wielu innych *dipisów* – pozostaje w okolicy w jakiejś willi zaanektowanej Hrabiny. Jest to faza pytań. Co dalej? Dokąd się udać po światowym kataklizmie, po nazizmie, po „czasach pogardy”? Na alpejskiej łące, na której wypoczywa, poznaje nieznajomego człowieka o nieustalonej narodowości. Dopiero później – po pewnych przekomarzaniach – dowiaduje się, że jest Polakiem, byłym jeńcem. Dziewczyna przypadkowo uzyskuje wiadomość, że we Włoszech, w polskich środowiskach wojskowych ma szansę zrobić maturę. Wiedziona głodem wiedzy po koszmarze łagru, udaje się na Południe. W środowiskach polonijnych poznaje Szymona, polskiego korespondenta wojennego. Ten, człowiek w sile wieku, niegdyś edukowany w Paryżu, zabiera ją na „reporterskie wypady” do okupowanych przez aliantów Niemiec widząc u niej pewne zadatki na pisarkę. Kupuje jej nawet w prezencie maszynę do pisania. Między nimi następuje bardzo delikatna zażyłość, którą można nazwać subtelną grą uczuć. Szymon kieruje dziewczynę do zakonnej szkoły średniej. Po zdaniu przez nią matury skłania ją do podjęcia studiów na Sorbonie, w Paryżu opromienionym legendą Ronsarda i Kochanowskiego. Ułatwia jej ten krok na miarę swoich możliwości. Z uczuciem pewnego odsunięcia się od niej Szymona, na nowym miejscu życia, dziewczyna poznaje topografię wymarzonego miasta jednocześnie studiując i dorywczo pracując. Poznaje mężczyzn (Miklosz), po pewnym

czasie wychodzi za mąż za Karola, który ją w stolicy Francji odnalazł.

Ciąg fabularny powieści podszyty jest grozą okrutnej HISTORII, znaczonej nazizmem, działaniami zbrojnymi, eksterminacja różnych narodowości. Jednak w głównym planie ta okrutna historia występuje jedynie w kształcie aluzji; jest swoistym – żeby użyć terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim". Romanowiczową interesuje jednak głównie „widzenie bliskie". Pisarka skupia uwagę na poszczególnych osobowościach, obserwuje struktury osobowe tych, których poraził nazizm, totalitaryzm, których naznaczyły „czasy pogardy".

II

Sono felice to powieść nie o wielkiej historii, ale o relacjach – w wielu przypadkach intymnych – w tym przypadku pomiędzy Teresą a jej partnerami: Szymonem, Karolem i Mikloszem. Ideą przewodnią utworu jest poszukiwanie szczęścia przez dziewczynę złaknioną ciepła, delikatności, intymnego bezpieczeństwa. Ta sprawa misternie inkrustuje tok narracji w postaci pojawiającego się zwrotu: *sono felice*, czyli „jestem szczęśliwa", zwrotu, który w końcu powieści odgrywa kluczową rolę.

Związki między Teresą a Szymonem cechuje delikatna opiekuńczość, niemal rodzicielska, ale opiekuńczość nie pozbawiona „podszewki” erotycznej. Sygnalizuje to dbałość o zapewnienie wygłodzonej więźniarce dostatniego, niekiedy luksusowego życia, a nade wszystko bezustanne zabiegi zmierzającego do jej intelektualnego, duchowego rozwoju. Szymon, mistrz narracji reportażowej, doświadczony dokumentalista, mówi:

> Nie wiem jak tam z twoim pisaniem. Nazwiska sobie chyba nie wyrobiłaś, doszłyby mnie słuchy. Ale masz czas. […] Kiedyś przynaglałem cię, prawda, ale to było po to, by cię ustawić do startu, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz, potrafisz. Jesteś wciąż młoda, wciąż masz czas, nic się nie pali. Tylko na bycie szczęśliwym nie ma chwili do stracenia. Jeszcze moment i może być za późno. [SF 102][1]
>
> […] patrz – przypatruj się, bierz, owszem, udział, wypróbowuj nawet na sobie, ale powiedz sobie raz na zawsze: cokolwiek się dzieje, ty obserwujesz do krajobrazów. (…) Trzymaj się wyłącznie Pegaza, gdyż upadki z Pegaza są bardziej od innych bolesne. Ale ty potrafisz utrzymać się w siodle. Ty możesz. Ja ci to przepowiadam, ja to w tobie czuję. (…) Ja jestem świadek. Nie muszę aż trawić, muszę tak patrzeć by widzieć. A co zobaczę, zaraz opowiedzieć dla

> tych, którzy nie widzą, chwycić to dla nich na gorąco, w trakcie, z najmniejszą możliwie przeróbką. (…) Ja świadczę, rejestruję, nagrywam. Może tacy jak ja są po to, by takim jak ty zbierać budulec? [SF 104]

III

Najbardziej skomplikowana, pogmatwana, meandryczna okazuje się relacja pomiędzy Teresą a Karolem. Historia ta została oparta na swoistej… nie „komedii", ale właśnie „tragedii pomyłek". Skończyła się też – niestety – prawdziwą tragedią. Poznała go podczas odpoczynku na alpejskiej łące w szczególnym stanie ducha. Po udrękach obozu, w którym bezustannie podczas rutynowych apeli, była wystawiana – niczym na targu niewolników – na widok publiczny, była niejako „na oku" strażników, szukała bezpieczeństwa samotności, intymności, które miały jej ułatwić określenie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po wyzwoleniu nie mogła już znieść innych zniewoleń:

> Każdy z mijanych mężczyzn zahaczał o nią spojrzeniem. Właśnie, zahaczał. To były spojrzenia-harpuny, była rybą do złowienia. Potykała się w pantofelkach Hrabiny, stropiona, tropiona oczami głodomorów. [SF 84]

W tej konkretnej sytuacji dziewczyna znajduje pewien świat wolności i bezpieczeństwa pośród świata książek przypadkowo zgromadzonych w jednym z baraków:

> Dopadła biblioteki, barakowego azylu. Sam zapach papieru i kurzu, cisza, ostrożne stąpanie, przywracały poczucie bezpieczeństwa. Za oknami mogły zbierać się jakie chciały burze, tu była świątynia słowa. Drukowanego. [SF 84]

Uwolnionych przez aliantów *dipisów* „polowania na Fraulein, które ją i jej towarzyszki przejmowało tak patriotyczną zgrozą" [SF 84] zaważyły na relacjach pomiędzy Teresą a Karolem, który – jak się później okaże – w stalagu czy oflagu, po prostu

> (…) bez pasa, bez broni, bezwolnie przeleżał pięć lat na pryczy, przegrał w brydża, przespacerował po dziedzińcu, patrząc na niedostępne góry, tak bliskie, na o każdej porze roku inaczej zabarwione łąki. Jego narzeczona zdążyła tymczasem wyjść za mąż. Nawet się chyba nie zdążyli pocałować. [SF 84]

Romanowiczowa pokazuje swoistą ironię złośliwego losu. Oto jeszcze anonimowy Karol zagaduje Teresę po niemiecku –

Fraulain – i niejako z miejsca kwalifikuje się do tej prostackiej grupy polujących na kobiety pokonanego narodu. Teresa, wiedziona rodzajem przekory, odpowiada po niemiecku. Kiedy okazuje się, że jest Polakiem, gotowym do kontaktu z Niemką, stawia przy nim znak zapytania. Kolejne spotkania niby coś zmieniają w ich stosunkach, doprowadzają do związku małżeńskiego, ale uraz pozostaje.

Związek małżeński Teresy z Karolem jest znaczony bezustannym niedosytem. Pojawiają się w nim wciąż zahamowania. Kobieta bezustannie przeciwstawia oszczędnego Karola, z Szymonem, człowiekiem o szerokim geście. Uładzony Karol okazuje się nieco mdły na tle rozbuchanego seksem Miklosza. Wartościowy Karol bezustannie ją irytuje:

> Nie na wiele zdał jej się niemiecki, nawet zaszkodził, choćby wtedy na łące, z Karolem. No a z Karolem po polsku czy po niemiecku, czy się porozumieli? Czy się kiedykolwiek dogadali? Nawet porozumienie ciał było między nimi potencjalne, pewność i niepewność, ogarek nadziei. Parę iskier. [SF 128]

Zofia i Kazimierz Romanowicz przed wejściem do Hotelu Lambert w 1962 r., fot. Archiwum Emigracji, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń.

IV

Natomiast związki Teresy z Mikloszem mają już inny charakter. Ten południowy Słowianin, charakter zdobywczy, tryskający energią, bezustannie zmieniający bezwolne partnerki, tryskający seksualizmem i erotyzmem, prowadzi z byłą więźniarką z Polski swoistą grę:

Mikloszowi poszło z Teresą nie tak prędko i nie tak łatwo. A raczej nie tak po prostu. Może dlatego chwycił ją w mocniejsze szpony i – nie będąc nigdy jej pewny, dłużej na niej wypróbowywał swej władzy. Dłużej łudziła jego złośliwe pragnienie.

Zła kolejność, kolejność pechowa. Gdyby z Karolem nie byli z góry zahamowani, z odmiennych a właściwie analogicznych powodów, gdyby nie było tej pierwszej, nie chcącej zagoić się kompromitacji na bawarskiej łące! (...) Obyłoby się bez Miklosza, doskonale mogłoby się obyć.

Miklosz był wszystkim, czym Karol nie mógł być, także i z jej winy. [SF 82]

A Miklosz? O, ten jak Szymon nie musiał machać ręką i żołądkować się, że kelner go ignoruje. Nie dłubał za drobnymi w portmonetce, nie oglądał menu wywieszonego na ulicy, kalkulując czy obok nie będzie taniej. Nie pracował, nie zarabiał, miał i wydawał bez liczenia.

Jednak z Mikloszem nie w głowie im było jedzenie, coś przełknęli, czymś popili, byle jaknajszybciej wyjść i najdłużej być razem.

Miklosz nie starał się, tak jak Karol, kamuflować swego cudzoziemskiego akcentu. Nie był żadnym emigrantem, naturalizowanym czy nie. On był Cudzoziemcem właśnie, był Obcym, zawsze i wszędzie cudownie obcym, innym, skądinąd. Nie nosił wstążeczek orderowych, po co? Choć musiał ich pewno mieć całą kolekcję. Wojenną przeszłość miał wypisaną na twarzy, w sposobie bycia. Nie rozwodził się też ględząc nad swymi wyczynami, nie rozbudowywał legend o byłych bojach, nie weryfikował się, żebrząc o zaświadczenia. Coś mu się tam czasem przypominało, mimochodem i to mimochodem było takie, że zapierało dech..

A może kłamał, mimochodem? Może ta szrama na policzku także kłamała, stanowiła jedno z akcesoriów, jedną z masek? Czasami Teresa czuła że ociera się o coś zwodniczego, coś teatralnie próżnego, nie zdanie lecz tyrada w odgrywanej po raz setny roli bohatera i kochanka. Długo nie chciała wierzyć samej sobie, przeciwnie, zaciskała powieki by sobie i jemu ułatwić oszukiwanie.

Bo przecież tak na dobrą sprawę Zwodziciel został przez nią zwiedziony, ona jego też w końcu oszukała, nie tylko samą siebie. Cały czas oszukiwała go, bo gdy myślał, że już zdobyta, już zaliczona, ona wciąż należała do Karola, a gdy zdobytą już, więc unieważnioną, odrzucał, ona właśnie i tak

miała odejść. To znaczy wrócić. Do Karola.

Właśnie, chyba tak. Z jej strony oszukiwane, bo pomyłka. Ze strony Miklosza oszukiwanie, tak, ale też i pomyłka, mała pomyłka, która… Gdyby wiedział!

To było zresztą tak dawno, ile lat? Miklosz, być może, zmienił się, postarzał, z siły wieku tak łatwo przejść w starość. Miklosz postarzały? Podtyty, jak jego sobowtór w kawiarni? To by ją dopiero na dobre wyleczyło. [SF 88-89]

Zofia Romanowiczowa zrobiona przez córkę Barbarę w Jours w 1987 r.

V

Powieść Romanowiczowej posiada znamiona sztuki teatralnej. Od początku akcji czuje się, że nad światem przedstawionym w utworze wisi tragedia. Sygnalizuje to bezustannie pojawiający się

motyw Waltera, pistoletu, w który zaopatrzył się Karol pragnący w jakiś sposób zrekompensować wcale nie bohaterski, nawet nudny, nieciekawy sposób życia w jenieckim obozie. Romanowiczowa prowadzi narrację tkając poszczególne wątki i motywy niczym misterną materię tak, że wzajemnie się określają, uwydatniają, wyjaśniają. Bezustanny okrzyk: „Sono felice" oznacza łaknienie szczęścia i jego szukanie; marzenie o biblijnym raju, zaludnionym przez Adama i Ewę. Ci szczęśliwi prarodzice człowieka współczesnego wypełniają powieść niemal po same brzegi. Ważną konstrukcyjnie rolę pełni motto utworu w postaci elegii Jana Kochanowskiego (III, 8) w przekładzie Juliana Ejsmonda *Do Karola*, elegii, której szczególny fragment przewija się przez tok narracji, a mówi o śmierci Henryka, który „zginął śmiercią tak okrutną":

> Teraz, w czasie pokoiu y zabaw rycerskich
>
> Krwią ciekący porwanyś za wody Styxowe,
>
> Tam, gdzie światłość przechodzi przez szparę w przyłbicy
>
> Straszna kopia przeszyła ci na wylot głowę.

Śmiercią okrutną – ironia losu – ginie Teresa. Wróciła do domu z ostatecznym przekonaniem, że jedynie Karol jest jej najbliższym

człowiekiem. Mówiąc, że jest szczęśliwa właśnie z nim, niebacznie – przez pomyłkę – przywołuje imię Miklosza. Znękany latami zazdrości Karol zabija Teresę. Kula z Waltera przechodzi przez czoło, właśnie „przez szparę w przyłbicy”.

Okazuje się, że powieści Romanowiczowej zwykle bywają utworami o relacjach pomiędzy jednostkami ludzkimi. Łączy je ze sobą niemal ta sama narratorka-bohaterka, która przeszła piekło więzień hitlerowskich i obozów koncentracyjnych „czasów pogardy”. Zazwyczaj to, co najgorsze jest już za nią; poszukuje zwykle możliwości wejścia w życie „normalne”. Jednak dramatyczna przeszłość w każdym przypadku wlecze się za nią to nękając ją, raniąc, to znów prowadząc do najbardziej skrajnego finału, do śmierci. Jeśli przedmiotem refleksji w niniejszym artykule jest powieść *Sono felice*, to głównie dlatego, iż wydaje się pokazywać najbardziej skomplikowaną wersję ludzkiego losu w dwudziestowiecznej rzeczywistości europejskiej…

---

[1] Wszystkie cytaty oznaczone skrótem SF pochodzą z wydania: Z. Romanowiczowa: *Sono felice*. Londyn 1977. Cyfry arabskie po skrócie oznaczają stronę.

Zofia Romanowiczowa, urodzona w 1922 r. w Radomiu, zmarła

w 2010 r. w Lailly-en-Val we Francji, polska pisarka i tłumaczka emigracyjna.

***Włodzimierz Wójcik**, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, były dziekan Wydziału Filologicznego, zmarł w 2012 roku.*

Jan Goczoł. Poeta innego czasu?

Jan Goczoł, fot. Katarzyna Zawadzka.

Korespondencja z Polski

Leszek Żuliński

Pozwolę sobie zacząć od dygresji osobistej… Otóż Jan Goczoł i ja urodziliśmy się kilka kilometrów od siebie, z tą różnicą, że poeta piętnaście lat wcześniej. On wydał swój pierwszy tom wierszy w roku 1961, ja czternaście lat potem. Ale taka właśnie różnica wieku i startu literackiego wystarczyła, że jako debiutant miałem Goczoła od początku za „klasyka”. Był już zresztą znanym

działaczem społecznym i kulturalnym na Śląsku Opolskim. I redaktorem. Był „postacią literacką” i szybko stał się poetą cenionym, co mi imponowało. Potem przez dwie kadencje posłował w Sejmie, należał do warszawskich zespołów redakcyjnych, wydawał kolejne książki; jego autorytet umacniał się. I miałem to poczucie więzi z KIMŚ TAKIM, z mojej Opolszczyzny. Mam je do dzisiaj. Może nawet mocniejsze niż dawniej – teraz, kiedy Ślązacy stali się „podejrzaną grupą etniczną”.

Jan Goczoł nie był autorem zbyt płodnym (nie musiał; może i dobrze…), ale zawsze „ważnym”, toteż bardzo się ucieszyłem, biorąc po latach do ręki jego zbiór wierszy pt. *Z pogorzeliska*. Tym bardziej, że w ostatnich latach gdzieś „mi zniknął”. Oczywiście czasy się zmieniły – w samym Opolu pojawili się chociażby tak znani autorzy, jak m.in. Podsiadło, Różycki czy Rudnicki… Tak więc miejsce Goczoła zrelatywizowało się na całej tej mapie poetyckiej.

Czy stał się już poetą „innego czasu”? Hm, w jakiejś mierze na pewno. Młode, galopujące bizonki oddają nas do domów starców, ale – do diabła! – my jeszcze żyjemy, my jeszcze piszemy.

Ten tomik Jana Goczoła ukazał się – przypadkowo – w dobrym momencie, akurat – o czym wspomniałem – gdy rozpętała się absurdalna burza na temat polskości Ślązaków. A Goczoł jest, jak

mało kto, przykładem rdzennego Górnoślązaka i poety z krwi i kości polskiego. Właśnie jakby wzorcem homogenizacji historycznej, patriotycznej i kulturowej, kreującej na całej Ziemi szczególnie ciekawe inspiracje i cenne świadectwa czasu.

Wiersze w tym tomiku pochodzą z lat 1985-2010. To nie jest jednak klasyczny wybór – przeważają teksty z lat ostatnich. Jednak widać, że to minione piętnastolecie „przesuwało” Goczoła ku przeszłości, ku konstatacjom uniwersalnym, takim, jakie przychodzą do głowy, gdy sumujemy własne doświadczenia i patrzymy w przestrzeń pozbawioną jasnej perspektywy.

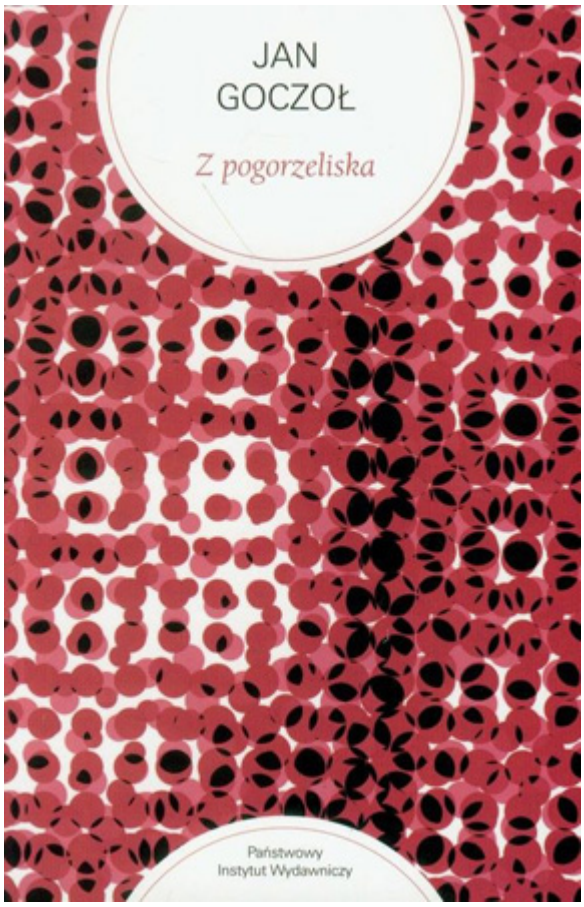

Dostrzec tu można wyraźnie trzy wątki. Pierwszy – to właśnie wątek śląski. Podyktowała go świadomość przynależności do własnej tradycji i kultury, ale chyba jeszcze bardziej nostalgia za upływającym czasem. Goczoł jest teraz w takim wieku, że to wystarczy, by znać i pamiętać zmiany pogody nad swoją ziemią, i to nasączone tymi archetypami, tą „przedpamięcią”, jaką wszyscy wynosimy z rodzinnych domów ojców i dziadków. Tradycja śląska pojawia się już na pierwszych

stronicach zbiorku, w odwołaniach do Angelusa Silesiusa i Jana Nepomucena, ale szybko te wiersze powiewają naszym czasem. Jak ten, którego mieszkańcami są emigranci i gastarbeiterzy – wnukowie Starego Ślązaka – rozrzuceni po całym świecie. Ale ta postać Starego Ślązaka jest tu najważniejsza i bardzo symboliczna – to jakby matuzalem i patron, rdzeń z rdzenia, kość z kości, opoka… I choć świat ucieka mu spod nóg, on splunie w dłonie, podniesie topór i jak gdyby nigdy nic będzie *rąbał drewno na zimowy opał*. Ładna metafora, nośna, jednak jakby wzięta z mitologii, z baśni, która za lasami za górami. Tak czy owak Goczoł opowiada swoje Macondo, opowiada jakiś etos; strach pomyśleć, że coraz bardziej daleki. Lecz ta nuta śląska brzmi w tych wierszach mocno, co znaczy, że Goczoł twardo się trzyma korzeni. Czy mogło być inaczej? Inaczej – w jego wierszach?

***

Drugi wątek, to sprawy współczesne. Nasz świat, nasze problemy i wahania. Nie ma tych wierszy dużo, ale jak już – to już. Cytuję w całości wiersz bez tytułu:

> Mów monosylabami, najlepiej
>
> ich ćwierciami, ledwie słyszalnymi, by

> ulatywały bezpowrotnie, nie wracając
>
> wołami zapierającymi się w ziemię
>
> coraz bardziej grząską po tych kwaśnych deszczach
>
> między Wisłą a Odrą. Już od wielu pokoleń
>
> tak padają. Chociaż coraz to ci z góry
>
> zmianę pogody obiecują.

To tekst uniwersalny, to wiersz-przesłanie o wysokich walorach aksjologiczno-etycznych, a równocześnie może być czytany jako sarkastyczny utwór „polityczny”, i to bardzo dziś aktualny. Tu widać całą dyscyplinę warsztatową tej poezji, jej umiar i wyciszenie, a jednak sens paraboliczny jest tu czytelny aż do bólu, ostry i niekompromisowy.

Goczoł daje popis poezji znakomitej, wyrafinowanej i „mocnej”. Ale swoje „bunty” przemyca ze stoickim spokojem, w wyciszeniu, w tonacjach lirycznych; m.in. jest świetnym „malarzem znaczeń” i „pejzażystą”, myśli obrazem, tłem, nastrojem, aurą; nie jest ani nowatorem, ani tradycjonalistą, a to z tego oczywistego powodu,

że znalazł już dawno swoją nutę osobną. Wprowadza nas w swoją realną prywatność, jak np. w kolędowanie u państwa Wysockich, przyjaciół (aż trzy wiersze na ten temat!) czy w oczarowania (wiersze bieszczadzkie).

Niechaj nas jednak ta kameralność nie odurza swą estetycznością lub czystym liryzmem. To są wiersze „gęste", „napakowane", o dużej wadze problemowej.

***

I już docieram do trzeciego wątku, najobszerniejszego w tym tomie, najbardziej bolesnego i chyba najbardziej przejmującego. Ów tytułowy w tej recenzji „poeta innego czasu", to nie tylko strażnik przeszłości, to także „zegarmistrz czasu przyszłego". Ale to już się dzieje na zupełnie innej płaszczyźnie – Goczoł opisuje swoje własne „pogorzelisko" egzystencjalne. Te wiersze są chyba najbardziej przejmujące – bowiem „schyłkowe", oswajające własny kres, odchodzenie, znikomienie, dobieganie do mety. W kurtuazyjnym odruchu można by zakrzyczeć: „Panie Janie, a dajże Pan spokój", ale nie zrobię tego, bowiem wszyscy wiemy, że gdy się ma tyle lat, to niemal każdy przymierza czarny garnitur i podsumowuje swoje przeżyte dni. Jednak każda poezja egzystencjalna, metafizyczna, profetyczna w wieszczeniu własnego kresu, to piętro najwyższe, jakiego możemy sięgnąć. Goczoł opowiada swoje „słabnięcie", swój odmarsz niezwykle

subtelnie i z wielką mądrością, którą nasyciło go życie. Mądry jest jego stoicyzm, łagodność, pogodzenie z losem i niezakłamywanie tej wspólnej wszystkim prawdy, ale zawsze najdosadniej prywatnej i beznadziejnej. Ten wątek uważam za apogeum, jakie tu znajduję; to wiersze wielkiej urody, pogodnego smutku, wnikliwego, intymnego autodefiniowania oraz oswajania własnej Nocy. Rzekłbym, że nawet jakiś klasyczny epikureizm tkwi w tym stoicyzmie i trudnej spowiedzi z własnej kondycji.

Tomik zamyka wiersz pt. *Post scriptum*, będący a propos tego, co napisałem powyżej:

> Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę
>
> na wysoki brzeg; z ogromny trudem łapią oddech.
>
> Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak
>
> jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –
>
> jedno zdanie na tydzień, nieraz i rzadziej,
>
> póki się nie skropliły ich wieczności.

> Ciemne zawiesiny powinny pozostać nienaruszone –
>
> anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie wyjaśnią,
>
> wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę
>
> w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,
>
> odżywiają się dalekimi głosami.

Ten wiersz, autotematyczny w swym pierwszym planie, to przecież wiersz o udręce niemocy i zdyszanym dobieganiem do mety. Co ciekawe: bliźniaczym wierszem jest utwór na początku tomu, drugi z kolei. To klamra, która spina wszystko, co tutaj najważniejsze i najbardziej dramatyczne.

Tomik ważny, bogaty, różnorodny, skupiony, intymny, bolesny i bardzo mądrze wmyślający się w krajobrazy zewnętrzne i wewnętrzne Czasu, który Jan Goczoł chce ogarnąć w poczuciu własnego zmęczenia i rozczarowania światem, choć po horacjańsku ukochanym.

Jan Goczoł *Z pogorzeliska*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, s. 64.

Jan Goczoł (ur. 13 maja 1934 r. w Rozmierzy) – polski polityk, poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji.

Ewa Kołacz. Impresje.

> Ewa Kołacz (Eva Kolacz) prezentuje wszechświat jako proces, a malarstwo jako nieustająco przekształcający się świat, który będąc stałym, jednocześnie się przeobraża. (John K. Grande)

Ewa Kołacz – kanadyjska poetka i malarka

Ewa Kołacz

Spacer

> Każdy z nas żyje na swej bezludnej wyspie
>
> która opływa pospiesznie życie.
>
> Wyznaczamy na niej granice
>
> własnymi myślami.
>
> Wielkość tej wyspy zależy na szczęście

głównie od wyobraźni.

Obwarowani przyzwyczajeniami

jakże niechętnie udzielamy gościny

i jeśli przy kimś zapomnimy się na chwilę,

jeśli nocą nie potrafimy obyć się bez niego

tym skwapliwiej zamykamy się w sobie.

Z rana triumfy świeci nasze ego.

Wieczni uciekinierzy. Czasem uciekinierzy z wyboru

wciąż z pytaniem jak przeżyć ambitniej i mądrzej

zapominamy że istnieje zwykłe ludzkie życie.

Samotność głuszy kilka rozpoczętych książek.

Znów słowa, daruj. Tak lubię późny czerwiec

z jego poranną mgłą, z zielonym cieniem akacji

podaj rękę i chodźmy już na spacer.

Czas wakacji.

Eva Kolacz, Fantasy Island.

Jeszcze jedna noc

> Noc. Krótka, prawie bez księżyca
>
> za oknem domy z wolna gasną
>
> i tramwaj cienko śpiewa, nie mogę zasnąć.
>
> Wciąż brak mi tej pięknej umiejętności

uchodzenia myślom

więc gram z nimi w wyścigi

lecz gdy zamknę oczy

już są przy mnie

i sen się gładko toczy po prześcieradle

i ginie.

Myśli. Jedne tak ulotne, że dotknąć ich nie sposób.

Są jak motyle albo ptaki,

budzą sny po których chodzę tak lekko

jak z balonikiem w ręku dziecko.

Inne myśli najczęściej przychodzą nocą,

znają każdą ścieżkę ciała, każdą szczelinę,

gdybym mogła, gdybym umiała pozbyć się ich

lecz żyją już swym własnym życiem

i milkną dopiero gdy świt

wchodzi do pokoju ze światłem.

Zapalam lampę.

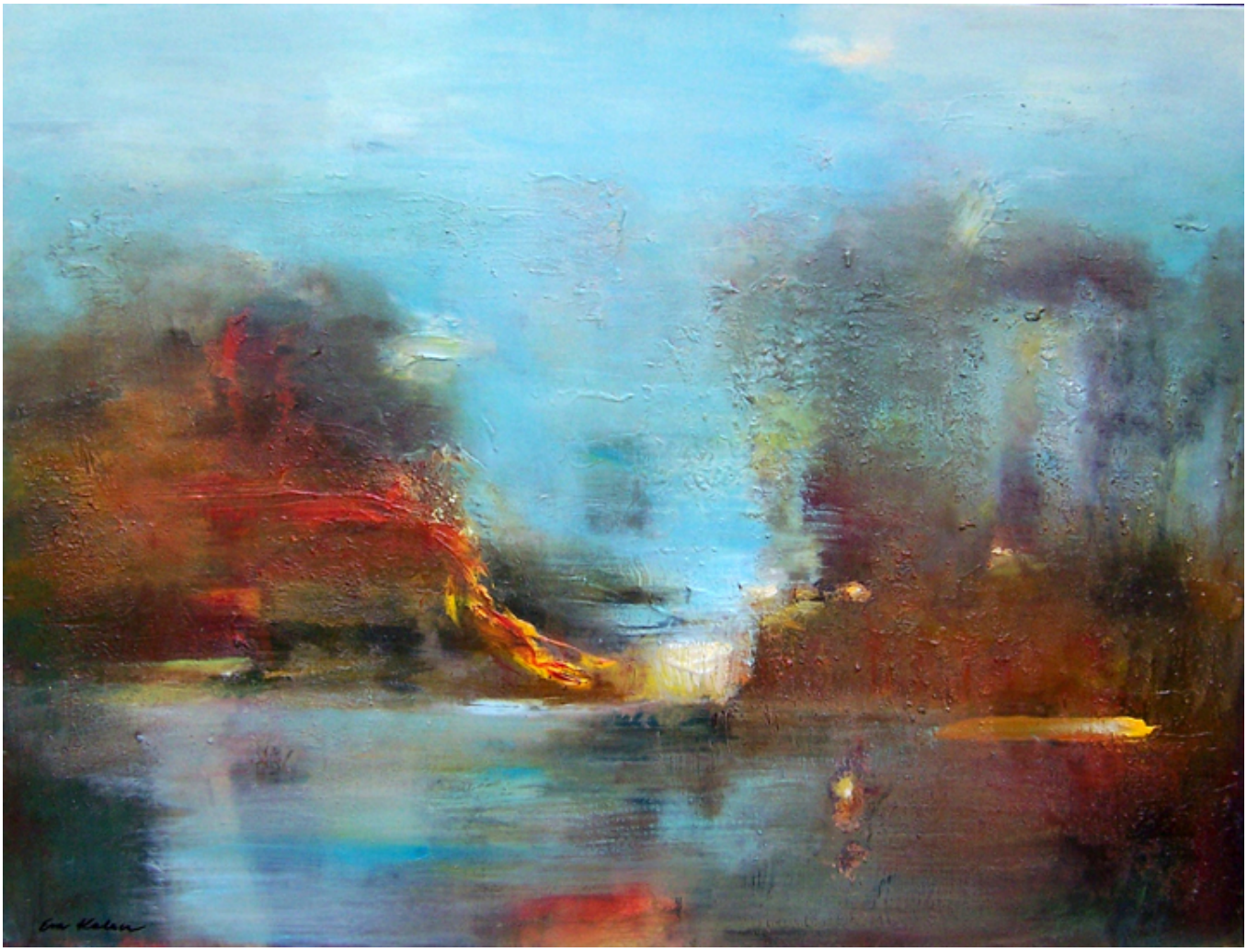

Eva Kolacz, Peaceful – Moments.

Muza i Poeta

> Myślisz, że to ładnie kręcić jego myślą,
>
> wchodzić jak do siebie
>
> w czerwonych obcasach?
>
> Śmieją się jej usta ze zwycięstwa

czary w nim uwięzione – zachłanna kobieto.

On – zanurzony w codzienności

jak w małej uliczce z której nie ma wyjścia

uczy się teraz mieszkać we wszystkich

zakątkach świata

i z pewnością będzie o nim głośno.

Wczoraj bezosobowy i nieistotny

z pozycji podpatrującego świat,

dziś właściciel długonogiej muzy.

Eva Kolacz, Flow of Light.

Sentymentalnie

> Dopiero tutaj
>
> we mnie dziś nie ma tych chmur.
>
> I śmieję się na tyle długo
>
> by zapamiętać śmiech.

Dlaczego nie zapachem dziewanny

mam być we wrześniowym poranku

wstawionym w polski pejzaż.

Sentymentalnie oh zbyt sentymentalnie

gdy codzienność wjeżdża w internetowy wszechświat

łukiem triumfalnym.

Clikclik – to my nowi władcy świata.

A mnie lepiej

tam gdzie dotyk ciepłej dłoni

i gdzie droga, która nie zna wszystkich odpowiedzi.

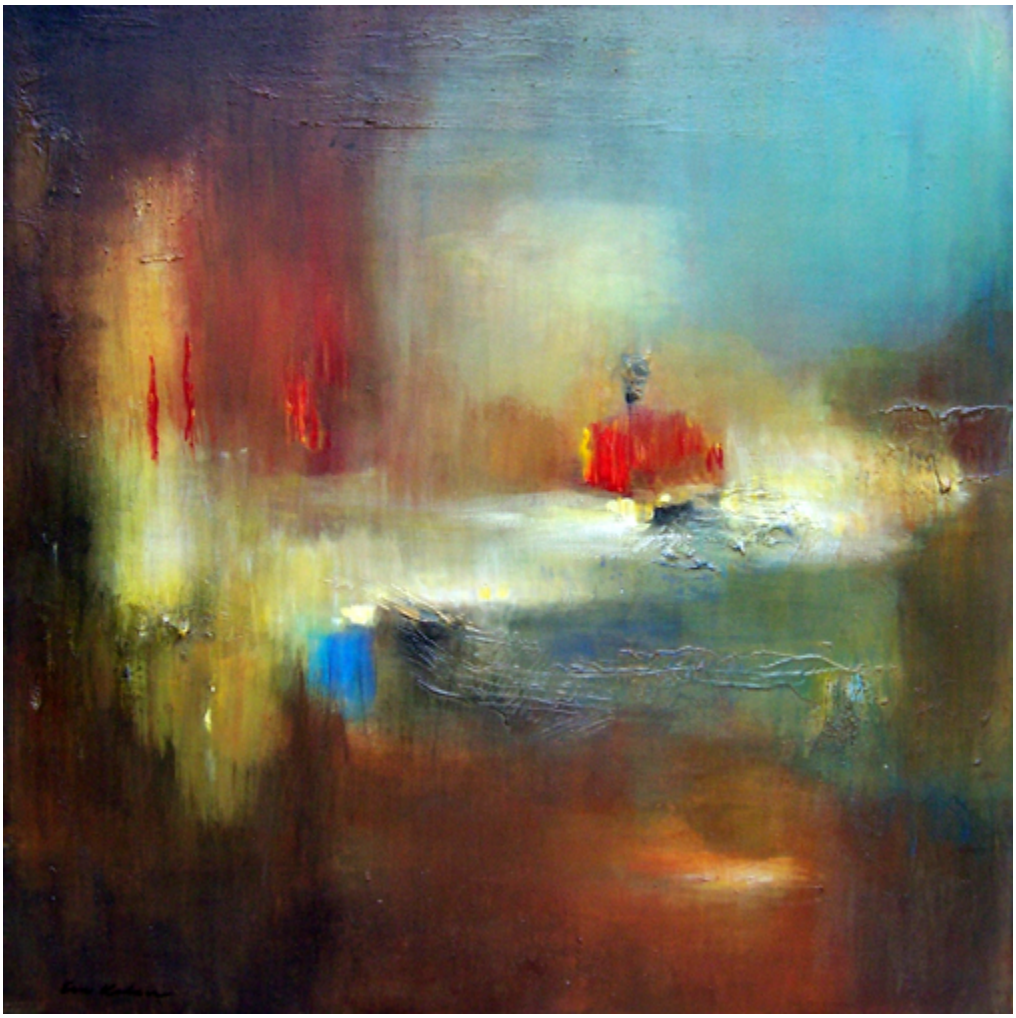

Eva Kolacz, Follow Thepath.

Eva Kolacz na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/ewa-kolacz-fazy-swiatla/

Konwikt

Florian Śmieja

Nazwa “Konwikt biskupi” dzisiaj znalazłaby niewiele zrozumienia, a jeszcze mniej entuzjazmu. Inaczej było w 1935 roku, kiedy dziesięcioletni smyk wyczytał ją w tygodniku “Gość Niedzielny”, w małej przygranicznej miejscowości na Górnym Śląsku. Budynek instytucji, pokoje, a także fotografia dystyngowanego dyrektora, księdza prefekta, zrobiły wielkie

wrażenie na malcu, natychmiast wywołały pragnienie, by się do tej bursy dostać. Nie bacząc na sytuację, odruchowo napisał list do dyrektora, dodając nieporadnym pismem skreślonemu podaniu autorytetu ojcowskiego stempla “Piotr Śmieja, Cegielnia Parowa, Kończyce”.

Petycja nie została zignorowana, coś tknęło adresata, by odpowiedzieć na apel śmiałego chłopca. Szef internatu w Tarnowskich Górach radził, że skoro petent jest dopiero w piątej klasie szkoły powszechnej, to potrzebuje zaliczyć szóstą. Dodał, że na miejscu cieszyła się dobrą sławą szkoła, tzw. Ćwiczeniówka, do której mógł się zapisać do szóstej klasy, a potem zdawać egzamin do gimnazjum.

Ojciec, widocznie na naleganie matki, zgodził się wysłać małolata do obcego miasta i do innego środowiska z dala od rodzinnego domu. Sąsiadka pomogła usypać pierzynkę i autobusem z matką pojechałem z tobołkami do Tarnowskich Gór. Tak zaczęła się moja trzyletnia przygoda w internacie.

Przy ulicy Powstańców stał duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy z kaplicą. To w nim, w dwu dużych salach urządzono sypialnie dla starszych i młodszych uczniów, w dużym pomieszczeniu, zwanym studium, stało kilkadziesiąt pulpitów do odrabiania lekcji po południu i wieczorem. W refektarzu podawano posiłki, które przygotowywały cztery

zakonnice także opiekujące się całym gospodarstwem domowym. W piwnicy stały szafki z butami, tam przewidziane było po kolacji powszechne czyszczenie butów.

Konwikt Biskupi w Tarnowskich Górach, fot. wikipedia.

Rozpiętość wieku alumnów wahała się od lat jedenastu, jak w moim wypadku, po mężczyzn dwudziestoletnich i nieco starszych, repetujących egzaminy maturalne. Obok żółtodzioba z zabitej wioski, były też niebieskie ptaki, co to z niejednego pieca chleb jadły, niektórzy mieli ponoć wilcze bilety i w małej mieścinie śląskiej próbowali szczęścia, by sforsować tę konieczną barierę, która nie pozwalała im pójść na studia. Sądzę, że

komplet internatu składał się z czterdziestu kilku osób głównie z terenu Górnego Śląska z garstką przyjezdnych ze stron dalszych, nawet z Francji. Roczna opłata za mieszkanie i wyżywienie wynosiła 600 złotych, a pełne czesne w gimnazjum kosztowało ojca 220 złotych, bo jako osoba prywatna nie miał żadnej zniżki.

Współżycie w takiej grupie było pamiętnym doświadczeniem. Edukowało dosłownie i powodowało szlifowanie jednostek w ciągłym kontakcie z innymi. Starsi koledzy służyli radą i chętnie popisywali się posiadaniem większej wiedzy. Jeden z nich nakłonił mnie do nabycia jego starego podręcznika *"Disce puer latine",* potrzebnego mi dopiero od drugiego półrocza pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz za to nauczył mnie tyle łaciny, że kiedy zaczęły się jej lekcje, wysforowałem się na czoło klasy i już tego miejsca nikomu nie oddałem. Łacinnik, "Kalwas", surowy i postrach uczniów był ze mnie bardzo dumny, nazywając zazwyczaj starszych studentów, końmi Bożymi, kazał im ze mnie brać przykład. Po dziś dzień pamiętam, kiedy go sromotnie zawiodłem w czasie wizytacji dyrektorskiej, i nie potrafiłem odpowiedzieć na jego proste pytanie.

Wtedy też gwarę śląską, którą się wyłącznie posługiwałem w Kończycach, zaczęła zastępować polszczyzna literacka. Prawdopodobnie dopilnowali tego nauczyciele, których z kurtuazji nazywaliśmy profesorami. I tak polonista Huza, podkreślał wyrażenia w moich wypracowaniach, kładąc na

marginesie uwagi “gwara”. Musiałem też w rozmowach z kolegami w klasie używać polszczyzny. W szóstej klasie tzw. Ćwiczeniówce zaprzyjaźniłem się z Halinką, córką majora 11 pułku piechoty stacjonującego w Tarnowskich Górach. Po jego nagłej śmierci często bywałem w domu Halinki, który był naprzeciwko konwiktu. Tam nie mówiono gwarą.

Będąc beniaminkiem czeladki w wieku dorastania i konfliktów z autorytetami, byłem wystawiony na sytuacje trudne i nie jednoznaczne. Ksiądz prefekt miał problemy dyscyplinarne z krnąbrnymi i niesfornymi studentami. Niekiedy do rozprawienia się z nimi posługiwał się najmłodszymi wychowankami korzystając z ich naiwnej prostolinijności. Pamiętam, jak pewnego razu po swojej perorze przeciwko paleniu tytoniu, zauważył czyjąś rękę z papierosem grożącą mu z tyłu.

Nie potrafiąc zidentyfikować sprawcy, wzywał nas, najmłodszych, potem na rozmowy i uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Winny student został wydalony. Do mojego pamiętnika oprócz kolegów wpisywali się niektórzy z naszej starszyzny. Zapewne nawiązując do epizodu wyżej opisanego, autor zacytował wierszyk, którego w całości nie potrafię już przytoczyć. Chodziło o prawdę i jej chwalebne cechy.

> …Prawdą Bóg sam.
>
> Za prawdę wieczne szczęście cię czeka
>
> Lecz gdy masz prawdą zabić człowieka
>
> To wtedy kłam.

W sali studiów obowiązywała cisza, tym dramatyczniej rozległo się pewnego razu stukanie w jednym z pulpitów. Dyżurujący student, senior, podniósł blat pulpitu, by ujrzeć prymitywny odbiornik sygnałów Morse'a, który przemyślny kolega zmajstrował i skutecznie zademonstrował. Wówczas też nauczyłem się konstruowania radia z kryształkiem. W piwnicy urządziliśmy sobie laboratorium chemiczne, paliliśmy siarkę z opiłkami i wytwarzaliśmy śmierdzące gazy. Prąd elektryczny podłączaliśmy do klamki. Wtedy podając sobie ręce tworzyliśmy łańcuch i podskakiwaliśmy, by znieść "kopanie" prądu. Udało się nam raz złapać najmłodszą zakonnicę, która pewnie od tego momentu kojarzyła dotyk mężczyzny z diabelską elektrycznością.

Tarnowskie Góry na starych pocztówkach

Ponieważ moja matka od czasu do czasu zaopatrywała mnie w masło, na śniadania dostawałem posmarowaną bułkę. Przypominam sobie zatarg z kolegą, który także dostawał bułkę z masłem. Kiedy ktoś mu ją zjadł, on najspokojniej zabrał mi moją, uważając, że postąpił właściwie. Na niedzielne obiady niekiedy bywały kluski śląskie, nieduże i raczej “gumowe”. Choć drobny

chłopaczek, apetyt miałem dorosły. Zjadłem na raz 25 klusek, bijąc dryblasa, który mógł skonsumować tylko 18 sztuk.

Ksiądz prefekt był także naszym profesorem od religii w gimnazjum. Z ministranturą mieliśmy ciągle na pieńku. Wpadliśmy na pomysł, jak ją wreszcie zdać. Zatelefonowałem do księdza gotów zdawać przez telefon. Jeszcze dziś słyszę wezwania w słuchawce “kto mówi, kto mówi”. Ale frajerów już wtedy nie było.

Na poczcie, z której telefonowałem, później stałem w ogonku do okienka, gdzie sprzedawano piękny znaczek pamiątkowy na cześć mającego się odbyć lotu balonu polskiego do stratosfery. Bloczek bodaj kosztował dwa złote, pokaźna kwota dla malucha. Dusiłem srebrną monetę i w końcu zrezygnowałem i znaczka nie kupiłem.

Młodsi wychowankowie trzymali przepisowo pieniądze kieszonkowe w depozycie i po obiedzie zgłaszali się do księdza prefekta z zeszytem z prośbą o wydanie drobnych kwot na doraźne wydatki. Z zaoszczędzonych groszy mogli sobie kupić coś dla siebie.

A w Tarnowskich Górach przy ul. Krakowskiej kusił nas salon lodów “Italia”. Za 40 groszy podawano tam w niklowanych pucharach porcje wybornych lodów. Zazwyczaj trzy ćwiartki były

wypełnione lodami, a czwarta, śmietaną. O takiej pełnej porcji można było tylko marzyć, kontentowaliśmy się, i to rzadko, mniejszą porcją.

Znaczki pocztowe kolekcjonowałem z pasją. Wszystko zaczęło się od odwiedzin mieszkającego w naszej kamienicy w Kończycach lokatora, Wilhelma. Służył on we francuskiej legii cudzoziemskiej. Z dobrych nawyków, które stamtąd przywiózł, była filatelistyka. Uzbierał dużo pięknych znaczków. Urzekł mnie widok jego albumów. Podarował mi kilka znaczków podwójnych. Wśród nich był irlandzki, który pomyliłem z fińskim. Nic mi wtedy nie mówił kształt wyspy irlandzkiej na znaczku, a miałem w przyszłości spędzić na tej wyspie trzy beztroskie lata uniwersyteckie.

Matka aprobowała moje zbieractwo, ale była przeciwna kupowaniu znaczków. Kiedy przyjechała w odwiedziny do Tarnowskich Gór, ja akurat sprawiłem sobie serię znaczków, które pośpiesznie ukryłem na głowie pod czapką. Pech chciał, że mama postanowiła swojego najstarszego ostrzyc. Kiedy weszliśmy do fryzjera, musiałem zdjąć czapkę i pofrunęły moje znaczki…

Gorącym dniem w konwikcie stał się dzień, w którym gruchnęła wieść, że skradziono album ze znaczkami jednemu z wychowanków. Ksiądz prefekt dobrał sobie kilku zaufanych

starszych studentów, zamknięto internat i zaczęło się gruntowne przeszukiwanie budynku. Akcja przyniosła rezultat. Na strychu za jedną z szaf album znaleziono. Nie pamiętam już finału całej tej historii.

Sypialnia młodszych studentów była większa od dormitorium starszych. Za winy popełnione i dla nauczki, ci ostatni od czasu do czasu, by nas nauczyć respektu, dawali nam w nocy “koca”. Przychodzili po ciemku i nie szczędzili batów. Myśleliśmy o odwecie, ale kończyło się na hałasach i rzucaniu jakichś przedmiotów przez otwarte drzwi. Baliśmy się większego lania w razie schwytania na ich sali.

Obok konwiktu stał budynek sądu grodzkiego i więzienie. Widywaliśmy próby komunikowania się więźniów z rodziną podchodzącą do parkanu. Podawaliśmy rzucone niekiedy na nasz teren listy. Z ciekawości zgłosiłem się parę razy, by służyć za ministranta w więzieniu.

Tarnowskie Góry były miastem garnizonowym, w którym stacjonowały dwa pułki: 11 Pułk Piechoty oraz 3 Pułk Ułanów. Trzeba było widzieć ich powrót z manewrów! Całe miasto wylegało na powitanie. Któż nie czuł dumy na widok wyćwiczonych czwórek piechoty, a co dopiero patrząc na setki koni w ułańskich trójkach. Orkiestry dęły z całego serca napełniając rynek i przyległe ulice świętem i radością.

Ułani zapraszali nas chętnie na pobliski poligon, gdzie podziwialiśmy ściganie się jeźdźców, gonitwy, by lancą nadziać kukłę słomianą lub szablą ściąć witkę. Przyglądaliśmy się manewrowaniu taczanek i dział przeciw

Tarnowskie Góry na starej pocztówce.

ernych, które stawiały czoła makietom czołgów wytaczanych na horyzoncie. Ileż to było emocji, ile obaw i nadziei. Na “kryj się, lotnik”, wyły syreny nad miastem, kiedy samotna awionetka symulowała nieprzyjacielską inkursję samolotów w polskie niebo.

Z synem pułkownika 3 Pułku Ułanów, Bohdanem, rywalizowałem z powodzeniem w pierwszej i drugiej klasie, mimo że mógł on liczyć na nadzwyczajne posiłki w postaci swojej matki, która pojawiała się na wywiadówkach w obłokach perfum, a cała kadra pedagogiczna śpieszyła, by pocałować ją w rękę. Moja matka nie wiedziała, co to jest wywiadówka.

Zabawną polszczyzną mówił nasz germanista Knosala, a matematyk, Broniec, część lekcji poświęcał sprzedawaniu papierowych ekierek i kątomierzy. Kosztowały one grosze, ale i o nie musiał się upominać w czasie spotkań z rodzicami. Zobaczyłem go po raz ostatni 1 sierpnia 1939 roku, kiedy przejeżdżałem przez Kraków, a on stał w kolejce do kasy biletowej na dworcu. Nasz pan od geografii, Henryk Wójcik, jak słyszę, pochodził z Opolszczyzny, z której tak jak nasz germanista salwował się po przegranym plebiscycie. Jego obsesją było poznawanie Polski, kiedy nie agitował za popieraniem Funduszu Obrony Narodowej i budowaniem ścigaczy dla obrony wybrzeża.

Już jako dwunastolatek, absolwent szóstej klasy szkoły powszechnej (Ćwiczeniówki) zabrałem się z wycieczką przez niego organizowaną do Wilna i Pińska. Było nas około pół setki chłopców i dziewcząt. Chłopcy byli z wyższych klas gimnazjum i liceum im. ks. Jana Opolskiego, a dziewczęta, tzw. “Raciborzanki”, Polki z Niemiec uczęszczające czasowo do szkoły

w Tarnowskich Górach póki budowało się dla nich gimnazjum w Raciborzu. Wśród nich była Anna Bożkówna, córka Arki Bożka, przywódcy Polaków w Niemczech, którego komuniści najpierw wynieśli na urząd wicewojewody, a potem z innymi działaczami polskimi na Opolszczyźnie, sponiewierali i zniszczyli. Ona opiekowała się mną podczas owej wycieczki, która odwiedziła Łódź i jej przędzalnie i tkalnie, Warszawę, Puszczę Białowieską z Hajnówką i żubrami, Wilno z jego Ostrą Bramą i cmentarzem na Rossie, z wycieczką "Panem Tadeuszem" do Werek, następnie do Baranowicz, Łunińca i Pińska, z wypadem parowcem "Orzeł" na jezioro Horodyszcze. Po wielu latach skonstatowałem, że naszą przewodniczką po Wilnie była poetka, Zofia Bohdanowiczowa.

W roku 1938 na naszym szlaku znalazły się Poznań i Gdynia. Byliśmy też na Helu i odwiedzili Oksywie ze stawiaczem m.in. "Gryfem". W czasie tej wycieczki wypaliłem mojego pierwszego papierosa, by się solidaryzować z klasą. Na szczęście, na tym skończył się mój romans z tytoniem.

W lokalnym kinie byłem kilka razy, pamiętam, że podobał mi się film z uroczą Kanadyjką, Deanną Durbin. Ale dobre filmy były dostępne od lat szesnastu, a z tym był, oczywiście, kłopot.

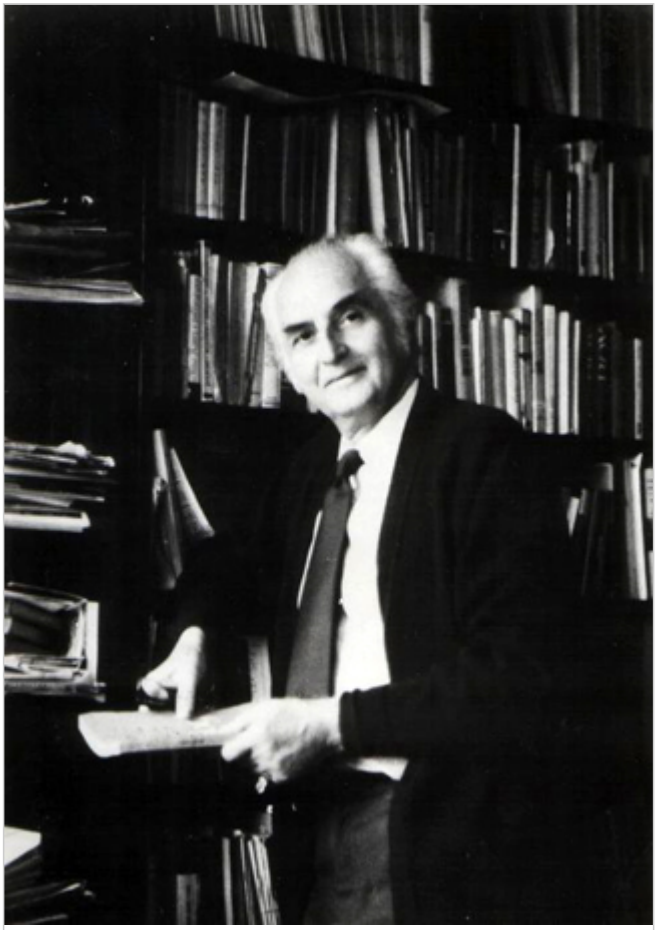

Leopold Pobóg-Kielanowski, fot. Encyklopedia Teatru Polskiego.

Do teatru natomiast trzeba się było wybrać do innego miasta. Nie zapomniałem wycieczki klasy do Katowic do teatru im. St. Wyspiańskiego na hiszpańską sztukę Calderona w przekładzie Juliusza Słowackiego “Książę Niezłomny”. Był to rok 1938. Niezatarte wrażenie zrobili na mnie strojni portugalscy infanci, którzy pokazali się po podniesieniu kurtyny. Jeden z nich wygłosił piękne tyrady. Był nim przystojny Leopold Pobóg-

Kielanowski, młody aktor i reżyser hołdujący idei teatru monumentalnego.

W czasie wojny pojawił się w Anglii i był wielokrotnym reżyserem Teatru Polskiego w Londynie. Przypomniał wtedy swoje udane inscenizacje z Polski, również “Księcia Niezłomnego”, którego już sam nie zagrał.

W Katowicach dla swawoli wespół z kolegami chrupałem głośno suchary w momentach najwznioślejszych. Odpokutowałem burszowskie wybryki później, kiedy zostawszy iberystą byłem promotorem pracy doktorskiej właśnie poświęconej “Księciu Niezłomnemu”. Z kurtuazji bardziej niż realizmu posłałem Kielanowkiemu w Londynie do wglądu mój przekład moralitetu Calderona “Tajemnice Mszy Św.”, z którego on, w warunkach emigracyjnych, rzecz jasna, nie mógł skorzystać.

I tak wśród nauki i zabaw płynęły młode lata. W czasie letnich wakacji znalazłem się w Katowicach i byłem świadkiem manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego. Zdało się, że cała Opolszczyzna przyszła przez granicę w barwnych strojach żegnać swojego tragicznego bohatera i przywódcę, nieświadoma, że z jego odejściem miała nastąpić era okrutnej wojny i dramatycznego przewrotu.

Późne notacje – poezja Floriana Śmieji

Zbigniew Andres

Poezja Floriana Śmieji ma swoje miejsce we współczesnej

kulturze. Zapoczątkowana na obczyźnie przed ponad pół wiekiem (tom debiutancki, *Czuwanie u drzwi,* Londyn 1953) i ciągle tworzona z dala od kraju, rozwija się nieprzerwanie i pomnaża, wzbogaca się o coraz to nowe akcenty, coraz głębsze refleksje, bogatsze myśli sprawdzane i niejako pieczętowane doświadczeniami życia. Jest to więc poezja kształtowana z perspektywy emigranta, poety konfrontującego dwa obszary kultur, zatem w szczególny sposób patrzącego zarówno na sprawy polskie, jak i na problemy uniwersalne, dotyczące w ogóle człowieka. Nie bez znaczenia jest zatem to, iż powstaje na ciągle niepewnym gruncie, bo w warunkach obczyzny, ale i wśród zawirowań historii, a więc w niestabilnej przecież sytuacji egzystencjalnej.

Jest więc w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami. Na uwagę zasługuje metoda twórcza poety. Z doświadczeń i obserwacji najprostszych nawet zdarzeń, które na co dzień towarzyszą ludzkiemu życiu, czerpie on bogactwo myśli, przenikliwie dostrzega prawidłowości, sensy i absurdy. Zatrzymuje się przy owych powszednich sprawach i tutaj poszukuje okazji do głębszej zadumy nad światem oraz życiem, po prostu nad problemami, wobec których najczęściej przechodzi się obojętnie, bądź które świadomie próbuje się oddalać z pola widzenia. Florian Śmieja eksponując, wydawałoby się nienowe, wielokrotnie przez poetów

podejmowane tematy, odświeża je i nadaje im pogłębiony wymiar. Odwołuje się do dobrze sprawdzonych, wypróbowanych twórczych strategii. Droga jego wyobraźni kieruje się często ku wspomnieniom. W akcie twórczym ożywia się pamięć i ona właśnie stanowi nie tylko niewyczerpane źródło motywów, ale pozwala także przenosić myśli w wymiar czasu uniwersalnego, sprawia, że stają się owe myśli zawsze aktualne. Z tej właśnie konfrontacji, a więc zderzania się jakby na kliszy pamięci przeszłości z teraźniejszością, rodzi się zamyślenie nad sprawami, które stanowią treść ludzkiej egzystencji, zatem nad doznaniami i doświadczeniami, które nie omijają człowieka, które ciągle stają na jego drodze. Urodę świata, atrakcje życia, nieczęste zresztą, przysłania więc metafizyczny niepokój, smutek przemijania, rozmyślanie nad przemianami czasu. W tym nurcie refleksji pojawia się też motyw ojczystego kraju, zatroskanie o jego losy, i motyw rodzinnych stron, „małej ojczyzny", śląskiej ziemi, wplatany w wysublimowane wspomnienia. Emocjonalna tkanka tego właśnie motywu najbardziej wyraziście uwidocznia się w wierszu o jakże wymownym tytule: *Przesłanie*. Warto ten krótki utwór przywołać tutaj w całości:

> Świat może być ojczyzną
>
> i nieraz nią bywa

> lecz matka jest jedna
>
> i święta ziemia
>
> która cię zrodziła.
>
> Dla innych Śląsk to szansa
>
> ziemia obiecana
>
> szczebel do sławy
>
> ja go utraciłem
>
> dlatego się smucę.

Jest to jakby poetycka deklaracja, swoisty manifest twórcy kontemplującego swoją sielską, utraconą bezpowrotnie, przeszłość. Perspektywa emigracji odsłania się tutaj wyraźnie. Ona organizuje specyficzny, pełen nostalgii ton tego wiersza. Szczególnie dużo tego rodzaju utworów zgromadził poeta w tomie *Wśród swoich*. Znamienne, że tom ten powstał właśnie w późnych już latach twórczości Floriana Śmieji, a więc w czasie, gdy powroty do arkadyjskiej krainy młodości, zarówno te realne,

odbywane w obecnych już warunkach jakże często, jak i te dokonujące się w sferze wyobraźni, w wymiarze głębokich doświadczeń wewnętrznych, wiążą się z doznaniami o szczególnej randze emocjonalnej.

Utwory o podobnym temacie i podobnej tonacji, konfesyjne, pełne niezwykle subtelnego liryzmu, obecne są także i w innych tomach poety. Przypomnijmy tutaj, dla przykładu, fragmenty wiersza *Inwokacja* ze zbioru *Bezrok,* w którym nostalgiczna, elegijna nuta brzmi jeszcze wyraźniej:

> Bądźcie mi pozdrowione
>
> górnośląskie Opole
>
> Kamieniu Odrowążów
>
> góro Świętej Anny
>
> starki Pana Jezusa
>
> gwarą szepcąca Odro
>
> Gogolinie z piosenki

> Dobrzeniu, Siołkowice
>
> Arkadio mego dzieciństwa:
>
> was noszę w sobie jak szkaplerz
>
> (……)
>
> Ziemio krzyży przydrożnych
>
> bocianów, ładu i wiary.

Opublikowane, w dobrze już zasłużonej dla polskiej kultury toruńskiej oficynie Adama Marszałka, *Późne notacje,* to czternasty tom poetycki Floriana Śmieji. Na tom ten złożyły się wiersze z trzech ostatnich jego zbiorów wydanych w Kanadzie (Silcan House, Mississuaga): *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001), *Nad Jeziorem Huron* (2002). W dołączonych tutaj *Variach* zaś znalazły się wybrane utwory m.in. z tomów nieco wcześniejszych: *Ziemie utracone* (1994) oraz właśnie ze wspominanych przed chwilą *Wśród swoich* (1998). Można więc w skrócie powiedzieć, że są to wiersze, które tworzone były w ostatniej dekadzie minionego wieku, zwłaszcza na przełomie stuleci. Powstała wówczas znaczna część dorobku poety, może nawet, w przybliżeniu, blisko połowa wszystkich jego utworów.

Ta szczególna aktywność twórcza to zapewne wynik nagromadzonych doświadczeń życiowych, rosnącego niepokoju, dojrzałej refleksji oraz ukształtowanej postawy dystansu wobec spraw ważkich i błahych, ale także w pewnym sensie i rezultat okoliczności innej natury: nowej sytuacji literatury emigracyjnej, a więc procesów integrujących całą polską kulturę, tym samym także wzrostu zainteresowań twórczością poetów dotąd w kraju mniej znanych.

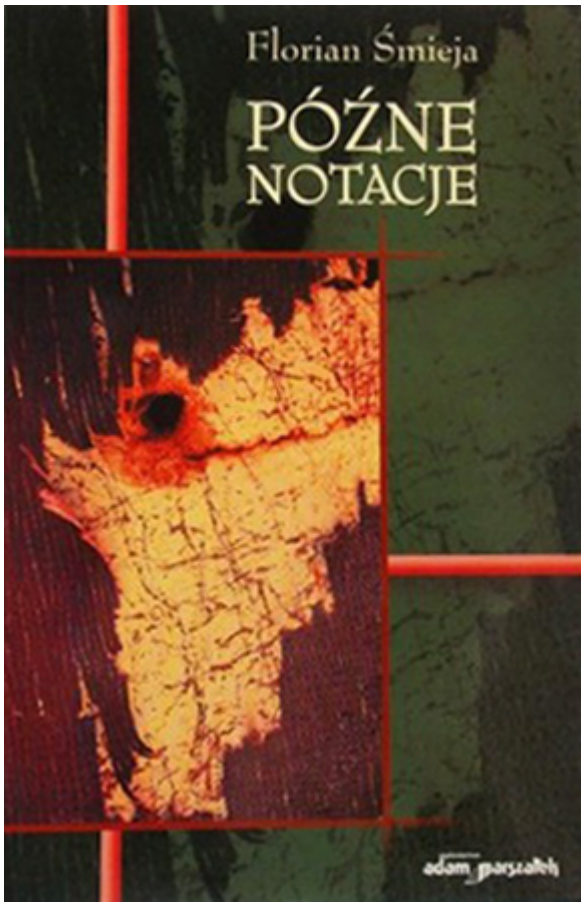

W tomie *Późne notacje* w sposób szczególnie wyraźny daje o sobie znać ukształtowana, dobrze utrwalona, postawa wobec świata i ludzi. Ujawniają się przekonania, poglądy, punkty widzenia, bogate doświadczenia, jakich dostarczyło życie, zatem wszystko to, co stanowi o charakterze i granicach tej twórczości. Poeta – powracamy do myśli w tej pracy już sygnalizowanej – wśród zjawisk świata i w formach ludzkich zachowań zauważa reakcje zgodne z naturą i prawem, ale też i różne niedorzeczności oraz paradoksy. Są to więc wiersze problemowo niejednorodne, w których częściej może niż w okresie wcześniejszym pobrzmiewa ton rozliczeniowy. Na czoło

wysuwają się tematy eschatologiczne, motywy przemijania, samotności, starości, śmierci. Informują o tym już same tytuły utworów. Wymieńmy tylko niektóre: *Niepamiętanie, Notes, Odchodzenie, Duchów obcowanie, De senectute, Nagrobek, Uchodzenie życia, Zachód słońca, Nekropol w Carmonie, Stary poeta, Na śmierć poety, Zjawa.* Zobaczmy więc, jakie treści kryją się pod niektórymi tylko, wymienionymi tu, tytułami:

> Zanim się spostrzegłem
>
> mój stary notes
>
> stał się spisem umarłych.
>
> Na której by go stronie
>
> nie otworzyć
>
> same puste adresy
>
> i nieme telefony.
>
> (*Notes)*

Już więcej moich przyjaciół jest po drugiej stronie

po tamtym brzegu, za ścisłym kordonem.

Przybywa ich. Przewoźnik zdążyć nie potrafi,

a na mnie patrzą nieme fotografie.

W brzózkach się snują widma niewyraźne

przywidzenia to, pamięć, zlękła wyobraźnia?

(*Duchów obcowanie*)

Łatwo nauczyć się chodzić

odchodzenie jest trudne

(.....)

odchodzenie najlepiej wdrażać

zanim się człek zakorzeni

(*Odchodzenie*)

Za długo żyjesz, mój drogi

jesteś, gdy rówieśnicy odeszli

żegnałeś ich, odprowadzałeś

ten luksus już nie dla ciebie.

(*Stary poeta*)

Taki właśnie ton przeważa w utworach z ostatniego tomu Floriana Śmieji. Ale nie jest to jednak poezja skrajnie pesymistyczna. Mimo wspominanych tutaj motywów, dominującego nastroju, jest ona otwarta na życie. Poeta próbuje opisywać, o czym była już w tym szkicu mowa, prawidłowości tego życia, jego odwieczne problemy i aspekty. W wierszu *Z czego wiersz?,* dedykowanym księdzu J. Szymikowi, znajdujemy na przykład następujące sformułowanie:

Z życia nam lepić poezję

nie z teorii, suchych dociekań

szkolarskich konstrukcji.

(.....)

tylko rozwieś swe druty

a ściągniesz mocne sygnały

tobie wysyłane, byś nimi

wytyczał drogę pewną

przerzucał kładki

przetwarzał okolicę

krzepił i śmiał się zarazem

z pocieszności wnuczki.

Autor *Późnych notacji* ważną rolę przypisuje przyrodzie. Właśnie przyroda pełna egzotyki, majestatu, tajemniczości (Jezioro

Huron), także ta najbliższa, wśród której żyje się na co dzień oraz wypełnione nią krajobrazy budzące zachwyt i podziw swoją urodą, przenoszą zmęczonego życiem wytrwałego wędrowca w wymiar wymownego mitu, jakby w swoisty „zaczas” (tu znamienny tytuł tomu: *Bezrok*). Regenerującą moc ma również zakorzenienie w realiach stron rodzinnych. Utrwalone w pamięci, przeżyte emocjonalnie, realia z tych stron stają się źródłem ożywczej siły, a tym samym punktem oparcia wobec niepewnej codziennej egzystencji.

Henryka Wańka język krajobrazu

Korespondencja z Polski

Rozmowa Krystyny Lenkowskiej z pisarzem i malarzem Henrykiem Wańkiem o literackich fascynacjach, sztuce, Zdzisławie Beksińskim i krajobrazach kulturowych Śląska i Podkarpacia.

Krystyna Lenkowska: Jesteś erudytą, „osobowością renesansową”: malarzem, eseistą, prozaikiem, twórcą scenografii teatralnych i filmowych, autorem plakatów. Fascynujesz się, a co najmniej fascynowałeś, kulturą Dalekiego Wschodu, mistyką, ezoteryzmem, okultyzmem, gnozą.

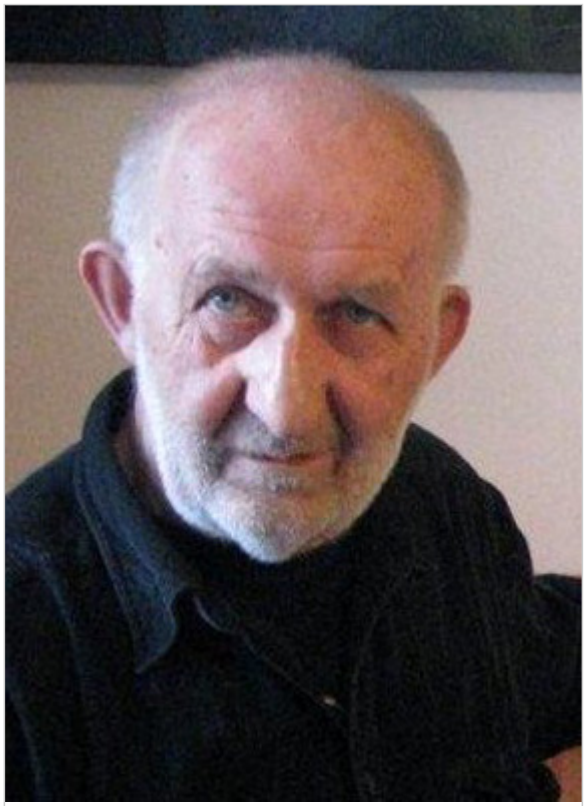

Henryk Waniek

Henryk Waniek: Czy zasługuję na tak miłe słowa? Szczególnie onieśmiela mnie ów „człowiek renesansu”. Jestem przekonany, że każda ludzka istota – ludzka, powtarzam, a nie tylko człekokształtna – potencjalnie jest wszystkim. Coś jednak sprawia, że zalążki geniuszu, które posiada w dzieciństwie,

maleją, obumierają, rozpraszają się i w rezultacie, zamiast Arthurem Schopenhauerem, Albertem Einsteinem lub Piotrem Czajkowskim, zostaje jakąś anonimową bidulką. Dlaczego?

Spośród niezliczonych odpowiedzi wybrałbym tę jedną – zabrakło odrobiny szczęścia. Może też odwagi bycia. Na pewno miałem więcej szczęścia niż odwagi. Ale gdzież mi tam do Czajkowskiego czy Schopenhauera! A tym bardziej do „człowieka renesansu”. Swoją drogą, w wieku XV czy XVI czułbym się chyba lepiej niż w naszej współczesności.

Istotnie, zajmowałem się różnymi rzeczami z mniejszym czy większym powodzeniem. Podejmowałem rozmaite próby. Przed niektórymi się cofałem. Inne kończyły się porażką, lub zniechęceniem. I w konsekwencji jestem, gdzie jestem oraz taki, jaki jestem. Żaden „człowiek renesansu”.

Co zaś dotyczy moich fascynacji ezoteryką, gnozą, i tak dalej, nie może być inaczej, skoro świat i życie to zjawiska z gruntu tajemnicze. Ludzie, którzy nabierają się na racjonalizm, budzą we mnie tkliwe współczucie. Chyba jestem agnostykiem, ale gdyby ktoś mnie przyparł do muru pytaniem, jaką religię mogę zaakceptować, byłby to buddyzm. Tak. Uważam się za buddystę-apostatę, nie widzącego dla siebie miejsca w tych jakże modnych azylach, gdzie śpiewa się sutry i pali kadzidełka.

KL: Czy właśnie dzięki dystansowi swojej apostazji mogłeś tak wnikliwie rozpracować w „Sprawie Hermesa” tę tajną inkwizytorską komisję grupy teologów, którzy zmienili XVIII-wieczne Prusy w najbardziej chrześcijańskie państwo świata?

HW: Nie było w tym żadnej wnikliwości. Raczej przypadek, jeśli ktoś wierzy w przypadki. To się zaczęło od szpargałowatej książeczki, na którą trafiłem we wrocławskim antykwariacie. Jak wiesz, jestem wyczulony na hasło „Hermes”, które się tam pojawiało na prawie 120 stronach. Nabyłem ją i w trakcie lektury okazało się, że po pierwsze, chodzi o innego Hermesa, a po drugie, że dotyczy mało znanej afery na dworze pruskim. Miała ona miejsce akurat wtedy, gdy XVIII-wieczną Polskę rozbierano po raz drugi. Kres tej zuchwałej aferze położyła śmierć króla Fryderyka Wilhelma III. Napisałem o tym esej *Inny Hermes*, który znalazł się w zbiorze pod tym samym tytułem.

Gdy Wydawnictwo Literackie zaproponowało mi wydanie książki, postanowiłem użyć tej historii rozszerzonej o wątki uboczne. Wyszedł z tego obraz teologii pomieszanej z polityką, co jest najbardziej niesmaczną mieszanką. Ale w protestanckich Prusach żaden fundamentalizm religijny na dłuższą metę nie ma szans. Więc aktywność Daniela Hermanna Hermesa była krótka i do historii przeszła jako wstydliwy eksces. Napisałem na poły fantastyczną, trochę żartobliwą opowieść, dziejącą się w zaświatach, gdzie rozpatruje się ziemskie grzeszki bogobojnych

spryciarzy. Ale w polskiej, jakże ludowej religijności, zaświaty na modłę pruską są nie do pomyślenia. Zabawne, że z kolei Niemcy, którzy przeczytali tę książkę, uznali, że traktuje ona kpiąco niemieckie symbole i ideały. Ktoś tam w dziale promocji WL-u dopatrzył się nawet aluzyjności do ówczesnych rządów Prawa i Sprawiedliwości, i upstrzył okładkę stosownymi sloganami, ale było to skojarzenie chybione.

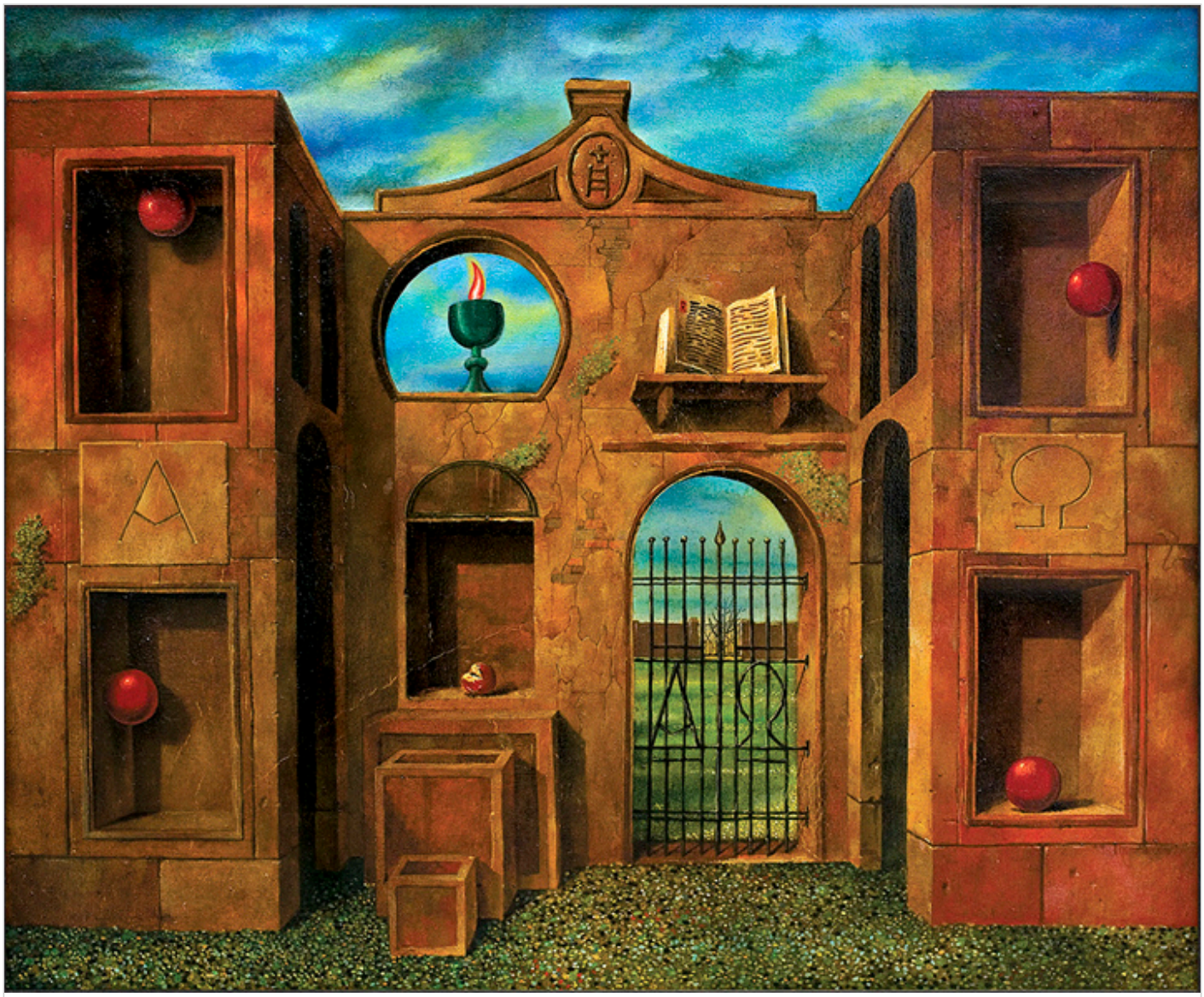

Henryk Waniek, Brama do ogrodu, olej na płótnie.

KL: A swoją drogą, aspekt niemieckości to też twój znak rozpoznawczy. Weźmy choćby twoją pierwszą powieść, też z elementami fantazji pt. „Dziady berlińskie” i ostatnią „Obcy w kraju urodzenia”, w której protagonista jest niemieckim dziennikarzem. Jednak najbardziej znany jesteś jako świetny malarz i pisarz śląski, „górnik śląskiej kultury”, jak powtarza Magdalena Rabizo-Birek w swoich recenzjach. Czy ta specjalizacja wynika bardziej z lokalnego patriotyzmu czy raczej z chęci, wręcz misji, pokazania światu jak mało znane, lecz arcyciekawe i promieniujące, jest *Śląsko-Silesia-Schlesien*, twoja Ziemia Święta, miejsce na skrzyżowaniu kultur, zwłaszcza polskiej i niemieckiej? Ale też kultury Czechów, Żydów, Łużyczan.

HW: No tak, na gruncie śląskim czuję się lepiej i pewniej. (…) Przesadzę – ale niewiele – jeśli powiem, że od wielu lat jedyną rzeczą, która mnie obchodzi jest właśnie Śląsk. Paradoksalnie, wyrok w tej sprawie zapadł w jakiś czas po tym, jak się stamtąd wyprowadziłem. Było to pewnie potrzebne, by moje widzenie objęło jego całość, z bliska nie tak widoczną. (…) Nieco pretensjonalnie mógłbym powiedzieć, że moją ojczyzną jest prawda. Inną sprawą jest, czy w naszym świecie prawda jest artykułem pierwszej potrzeby. Już nauczyliśmy się oddychać pozorem, fikcją, kłamstwem w żywe oczy. No więc opowiadam ten Śląsk, w różnych wymiarach – współczesnym, historycznym, subiektywnym, społecznym, realnym i baśniowym. Ale w tym

prowicjonalnym zapatrzeniu odnajduję sprawy zasadnicze nie tylko dla Śląska.

KL: Jak byś opisał swój prywatny potop, po którym pejzaż nie był ci już potrzebny? Czy słowa, które wypowiada postać przywodząca na myśl Witkacego w „Finis Silesiae” na temat pożaru, potopu swojego świata krajobrazów jest też twoim zakamuflowanym wyznaniem zwątpienia?

HW: Nie powiedziałbym, że kiedyś stanął mi na drodze większy kataklizm; potop, trzęsienie ziemi czy wewnętrzna ruina. Staram się być – na ile to możliwe – namiętnym czytelnikiem świata, ale tak, by namiętność nie pozbawiała rozsądku. Księga świata jest pisana różnymi językami, z nich najbliższy dla mnie jest język krajobrazu. I w tym sensie nigdy nie przestał mi być potrzebny. Ludzkie losy, tła polityczne, archiwa pamięci rodzinnej czy kolektywnej, to tereny emocji, łatwe do świadomych lub nieświadomych zniekształceń.

Krajobraz natomiast mówi o rzeczywistości i ludziach znacznie więcej, niż oni sami chcieliby o sobie powiedzieć. Wspominasz o tej postaci z powieści *Finis Silesiae*, którą rozpoznajesz jako Witkacego, bo rzeczywiście o nim myślałem, choć go nie nazwałem. Więc i ja, oczywiście, nie jestem optymistą. Jeśli ktoś psuje świat, to najbardziej optymiści. Nie mógłbym tylko powiedzieć, że jestem – jak Witkacy – katastrofistą. Ale bardzo go

cenię. Nie za to akurat, czym tak się podniecają habilitowani entuzjaści i wielbiciele jego grymasów. Według mnie wielkość Witkacego tkwi w jego egzystencjalnej tragedii. Był trzeźwym świadkiem nędzy duchowej międzywojennego dwudziestolecia, usiłującym jako terapeuta służyć swemu krajowi. Bezskutecznie. *Niemyte dusze*, jego niewątpliwie największe dzieło, traktowano jak jeszcze jeden wybryk skandalisty. Niesłusznie.

Henryk Waniek, Cztery strony świata.

KL: Interesują mnie twoje młodzieńcze początki artystyczne. Jak

się zaczął Waniek malarz, pisarz? Czy od grupy Fantazos na ASP w Krakowie? Jaki wpływ miała silna grupa ezoteryczna ONEIRON na twój rozwój jako młodego artysty?

HW: Początki zawsze ukrywają się w mgłach dzieciństwa; wyłaniają się z jego zabaw i gier, a później toczy się to jakimś zagadkowym duktem. Spotykamy różnych ludzi, coś otrzymujemy, coś ofiarujemy, rozstajemy się, idziemy dalej. Szkoły, towarzyskie sojusze, związki są tylko milowymi słupami na tej drodze. Historia – zresztą niedługa – grupy Fantazos, to temat na długą opowieść, którą trzeba by zacząć w latach 50., w katowickim i bielskim Liceum Plastycznym, którego uczniami byli Michał Józefowicz, Henryk Ziembicki, Barbara Białasik i ja sam. Już wtedy kiełkowały w nas idee, które rozwinęły się podczas studiów w Akademii Sztuk Pięknych Z ideą tej grupy wystąpił Henryk Ziembicki i był jej tak wierny, że gdy wszystko się rozsypało, zmienił nawet swoje nazwisko na Fantazos i jako taki jest artystycznie aktywny gdzieś w USA. Zasadniczo byłem i nadal jestem sceptyczny wobec wszelkich „grup artystycznych", oraz doktryn. Bo ostatecznie warunkiem twórczości jest samotność.

Ale później, w tych szarych i strasznych latach 60., na tym nieludzkim Górnym Śląsku, jakimś cudem doszło do spotkania pięciu osób, których postawy i pragnienia były dość zbieżne: Urszula Broll-Urbanowicz, Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik,

Andrzej Urbanowicz oraz ja. Stworzyliśmy jedyną w swoim rodzaju, niezależną od oficjalnej polityki kulturalnej, manufakturę idei. Ale nie była to żadna grupa artystyczna i przynajmniej na początku nie mieliśmy zamiaru działać publicznie. Jednym z projektów było kolektywne wykonywanie tzw. Czarnych Kart i gdy już powstało tych 25 obrazów, pojawił się pomysł by je zademonstrować na wystawach. I dopiero wtedy – początek lat 70. – powołaliśmy *ex post* tę grupę, wraz z nazwą ONEIRON. Zresztą niebawem nasz kolektyw też się rozpadł. Ale wcześniej wokół naszego pięcioosobowego rdzenia gromadził się „drugi krąg" przyjaciół i kibiców – malarze, pisarze i poeci, kompozytorzy, nieokreślonego typu hipisi, krótko mówiąc – ludzie kontrkultury. Moje spotkanie z Andrzejem Urbanowiczem uważam za jeden z tych cudów, które się jednak zdarzają.

Henryk Waniek, Trzecia forma, olej/płyta, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi.

KL: W biograficznej książce o Zdzisławie Beksińskim, autorka Magdalena Grzebałkowska wspomina wiele razy twoją osobę. Jak ty sam możesz odnieść się do swojej relacji z Beksińskim i ewentualnie do faktów z tej książki?

HW: Grzebałkowska przepytała dwadzieścia albo trzydzieści osób, szperała po archiwach, zgłębiała listy Beksińskiego i tak dalej. Napisała solidną książkę, ale moje odczucia są dość mieszane. Byłoby chyba podobnie gdybym brał udział – powiedzmy – w bitwie pod Grunwaldem, a potem przeczytał

Krzyżaków. A już zdecydowanie odrzucam bardzo podejrzany film *Ostatnia rodzina*. Powiem krótko, żerowanie na medialnej stronie dramatów, jakie się zdarzyły w rodzinie Beksińskich uważam za rzecz niegodną. Moja zażyłość ze Zdzisławem, Zosią, jego żoną i Tomkiem, ich synem, datowała się od roku 1968 i trwała aż do końca, jakkolwiek po śmierci Tomka znacznie ostygła, głównie za sprawą demonicznego dobroczyńcy Zdzisława. Gdy Grzebałkowska skontaktowała się ze mną, za fakt obiecujący uznałem to, że ktoś mnie wyręcza. Bo sam zmagałem się z wewnętrzną potrzebą opisania tego złożonego przypadku. Ale to mnie przerastało, pomijając, że miałem inne zadania. No i przecież Wydawnictwo Znak zwróciło się do Grzebałkowskiej, czego rezultatem jest „prawda" z drugiej ręki, trochę jak z magla. To się u nas nazywa „literatura faktu" i trochę mnie dziwi królowanie jej mitu.

KL: A propos mód i mitów. Doświadczamy ostatnio istnego szaleństwa wokół Davida Hockney'a. Mnie osobiście on też zachwyca, choć nie lubię ani modnych pisarzy ani artystów. Przypadkiem poznałam jego malarstwo mieszkając w Bradford w latach 90. A co ty sądzisz o Hockney'u?

Henryk Waniek

HW: Ja też jestem ostrożny wobec „szlagierów sezonu”, ale Hockney to przyzwoity malarz, który nie nabrał się na hura-modernizm. Czasami flirtuje z „nowoczesnością”, ale widać, że mu to nie pasuje. Właściwie nie budzi we mnie odrazy takiej jak na przykład amerykańscy spryciarze pop-artu z Warholem na czele. W końcu jednak to tylko sprawa gustu. Czy obrazy Hockneya otwierają mi na coś oczy? Nie. Mogę popatrzeć, pokiwać głową, pójść dalej.

KL: Z kręgu artystów współczesnych przejdźmy do tematu mistrza. Podobno prof. Zbigniew Kowalewski był twoim mistrzem na akademii. Wspominałeś kiedyś, że podziwiasz śląskiego

malarza naiwnego Erwina Sówkę. W twojej prozie powtarzają się takie nazwiska jak Bosch, Rembrandt, Dirk Bouts. Zaś inne niż malarskie dziedziny reprezentują Platon, Pitagoras, Marek Aureliusz, Swedenborg, Jakub Böhme, Blake, Mircea Eliade, Jung, Bachelard, Huxley, Orwell. Proszę o wypowiedź na temat pt. „mój mistrz”?

HW: To bardzo trudne pytanie, bo jeśli „mistrz” ma być synonimem wzoru działania, nauczyciela, którego należy naśladować i ewentualnie prześcignąć, nic mi nie przychodzi do głowy. Tym bardziej, że niektóre z nazwisk, jakie przywołujesz są mi z gruntu obce. Mało mnie obchodzi Orwell czy Blake, Swedenborg czy Rembrandt. Wspomniany Zbigniew Kowalewski, którego szczerze podziwiałem i kochałem, któremu wiele zawdzięczam, nie kwalifikował się na trenera. Był człowiekiem zbyt uczciwym, by zgrywać się na mistrza. A Erwin Sówka to jest przypadek szczególny. On również jest przede wszystkim człowiekiem. Maluje z solidnością chyba podobną do tej, z jaką jako górnik wydobywał węgiel. A w dodatku, to poważny myśliciel. Małgorzata Szejnert na zakończenie swego *Czarnego ogrodu* cytuje słowa Sówki. Uważam je za najbardziej wartościowe w całej książce. Aż mnie korci, by je tu zacytować, ale kto ciekawy, niech tam zajrzy. Natomiast w tej litanii moich rzeczywistych i rzekomych idoli nie wymieniłaś postaci o wielkim dla mnie znaczeniu, która mogłaby być moim „mistrzem”, gdybym się z urodzeniem nie spóźnił o przeszło 100 lat. Więc

niech pozostanie bezimienna.

Henryk Waniek, Na niebie.

Henryk Waniek, Na ziemi.

KL: Gdyby nie ta liczba, zgadywałabym, że chodzi o Caspra Davida Friedriecha, malarza okresu romantyzmu, też miłośnika Sudetów. Pewnie ta fascynująca postać pozostanie dziś dla mnie

tajemnicą. A czy tajemnicze toposy takie jak Tęcza, Mapa, Liczba 37, Droga, Krajobraz, Postać Hermesa to twoje fascynacje czy już artystyczne „obsesje”?

HW: Liczba jest w całkowitym porządku. Urodziłem się w roku 1942, a C.D. Friedrich umarł w 1840. Nie był aż tak wielkim miłośnikiem Sudetów, jak się wydawało jego miłośnikom w czasach Trzeciej Rzeszy. Jeśli malarstwo, które dzisiaj jest już dyscypliną upadłą, kiedykolwiek się odrodzi, to sztuka Friedricha będzie najlepszym wzorem. Jego pejzaże to są po prostu obrazy czystego *sacrum*, po odrzuceniu całej tej podejrzanej emblematyki religijnej. Co zaś do pozostałych drobiazgów o które pytasz, powiem tylko, że są to tematy dość obszernych tekstów, które opublikowałem w tych kilku eseistycznych zbiorach, jakie się ukazały. Choćbym stawał na głowie, nie zdołam, ani nie chcę ich streszczać. Odsyłam do lektury. Czy obsesje? Zapewne. Ale też fascynacje. Przedmioty badań. Tematy rozważań. A do tego, punkty orientacyjne w chaosie świata. Drogowskazy.

KL: Czyli jednak Friedrich. Porównywałam Wasze daty urodzin, stąd to zawahanie. Kontynuując temat fascynacji, skoncentrujmy się więc „tylko” na toposie Drogi. Czy głównym powodem porzucenia malarstwa jest twoja fascynacja motywem wędrówki, której więcej przestrzeni oferuje pisarstwo?

HW: Wiesz, to może nieskromnie zabrzmi, ale to co miałem do namalowania, już zrobiłem. I wystarczy. Nie będę się dożywotnio powtarzał, co tak chętnie czynią malarze i „malarze”. Oczywiście, sama czynność malowania jest boska. Przepadam za tym i jeśli zdarzy się wolna chwila, już coś rysuję lub maluję. Ale tym nie będę przecież ludziom zawracał głowy. Niech to robią inni, lepsi ode mnie, bo na świecie nie brak malarzy. Są jednak sprawy, których się nie da namalować. Które trzeba napisać. Tyle, że już pisanie nie jest czynnością boską. To czarna harówka, mordęga i cierpienie. Obraz czasami maluje się sam. A tekst sam się nie napisze. Nie muszę ci przecież tłumaczyć.

Henryk Waniek, Odlot XVII.

KL: Czy pisząc łatwiej otworzyć się na tajemnicę istnienia by zbliżyć się do *harmonia mundi*? Przecież twoje malarstwo określa się mianem malarstwa metafizycznego. Mnie ono napawa niepokojem i przeczuciem czegoś co jest za „brzegiem świata widzialnego i przedstawionego”[1]. Czy ten ludzki lęk przed nicością stoi w sprzeczności z poszukiwaniem harmonii?

HW: Ach, te przymiotniki – „metafizyczne”, „magiczne”, „tajemnicze”. Tymczasem sprawa jest w najwyższym stopniu prosta. W ogóle nie interesowało mnie malarstwo, malarskość, forma artystyczna i te wszystkie „duperele”. Mnie interesowało tworzenie obrazów. A nawet nie tworzenie, bo jest to słowo nieznośnie pretensjonalne, więc powiedzmy raczej, że starałem się czynić obrazy widzialnymi. Skutki tych usiłowań były różne; czasem zadowolenie, czasem wstyd. Jeśli były to obrazy harmonii, stawiałem sobie ocenę celującą i zaczynałem od nowa. Harmonia – powiedzmy nawet, że *harmonia mundi* – to wyobrażony ideał, według którego warto sobie organizować życie. Ale to jest zadanie dla nielicznych. Nie dla tych, którzy chcą, mogą, muszą żyć na chybił trafił.

KL: Nie używam przymiotników „magiczny” ani „tajemniczy” wobec Literatury i Sztuki. Co innego przymiotnik „metafizyczny” i rzeczownik „tajemnica”. A propos słów, czy twoje obrazy zawierające inskrypcje, wszelkiego rodzaju semantykę, wątki literackie, były przeczuciem rozmachu twojej ekspresji pisarskiej?

HW: W moim dzieciństwie obraz i słowo stanowiły jedność. Nauczyłem się czytać około czwartego roku życia, bo ciekawiły mnie teksty pod obrazkami komiksu, który zawzięcie badałem. Rysowałem i pisałem równocześnie. Czasem bardziej zajmowało mnie to, czasem tamto. I tak już zostało. Z pismem jednak łączyły

się pewne tajemnice. W bibliotece mojego dziadka był niezwykły leksykon, pełen rycin i barwnych obrazków. Ale niemiecki, drukowany czcionką frakturową. Należało ją czym prędzej poznać. W szkole mieliśmy język rosyjski i jego egzotyczne bukwy. Obce języki i różne pisma – to mnie zawsze poruszało. Niestety, w trakcie edukacji artystycznej usiłowano nam obrzydzać wszelką „literackość” w obrazie. Nic dziwnego, że wyrosły z tego całe generacje artystycznych półgłówków. W moim odczuciu obraz i słowo zawsze stanowiły jedność. Są języki – na przykład grecki, rosyjski czy chiński – gdzie ten sam czasownik określa pisanie i malowanie. Nawiasem mówiąc, jest zjawiskiem nagminnym, że malarze zabierają się za pisanie, a pisarze z kolei za malowanie. Zastanawiający fenomen. Ktoś się powinien z tego doktoryzować.

Henryk Waniek, Podwójność.

KL: Spotykamy się w tym wywiadzie pod pretekstem tematu „dziedzictwo krajobrazu, krajobraz dziedzictwa”. Ty bardzo wcześnie odkryłeś szczególne możliwości ekspresji jakie daje pejzaż, górski pejzaż Sudetów z Górą Ślężą, krajobraz Karkonoszy, Gór Izerskich i Kotliny Kłodzkiej. Czy aby było odwrotnie i to pejzaż śląski, jego *genius loci*, wybrał cię na swojego odkrywcę, idąc nieco prowokacyjnie tropem metafizycznym?

HW: Już wspominałem o moim „zaczytaniu się” w krajobrazach i to nie tylko tych ulubionych i wybranych. Właściwie chodzi raczej o „miejsce”, czyli tę część przestrzeni, przez którą człowiek *volens-nolens* określa swą tożsamość, nawet jeśli jest to tylko miejsce wyobrażone, utracone lub porzucone. Miejsce-krajobraz jest immanentną cząstką ludzkiego ducha, a duch, wiadomo – *flat ubi vult*. W moim szwendaniu się po górzystym krajobrazie Sudetów jest wiele eskapizmu, są to wyprawy poza nasz świat trywialny i czas bieżący. Innych kuszą antypody, tak jak mnie kiedyś, dopóki nie zauważyłem, że to wszystko, a nawet więcej, jest tuż-tuż. I jak tu o tym nie pisać?

(…)

KL: Twoja tetralogia eseistyczna: *Hermes w Górach śląskich* (1994), *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257 – 1957* (1996), *Pitagoras na trawie* (1997), *Inny Hermes* (2001), a także twoja powieść *Finis Silesiae* (2003) oraz obrazy, to wszystko krajobraz Śląska. Naturalny, mentalny, duchowy. Krajobraz tej ziemi i twój własny krajobraz wewnętrzny. Jak się zmienia, jak godzi sprzeczności, malarz i pisarz pod wpływem tropienia zagadek tego pejzażu, jego tajemnic bytu, odkrywania tego, co ukryte?

HW: Znowu mnie chyba przeceniasz. Jestem zaledwie kopistą, żeruję na cudzych doświadczeniach, mieszam je ze swoimi,

odkrywam jedynie rzeczy jawne. Jestem ~~też~~ zapewne trochę nawiedzony i mam na Śląsku swoje miejsca intymne, ale z tego też nie czynię wielkiej tajemnicy. Nadzwyczajność tego krajobrazu jest w pewnej mierze wzmocniona przez moją emfazę. Tak jak ktoś inny może *ad dies vitae* być zakochany w Wilnie czy Stanisławowie. A miłość zaślepiona widzi coś więcej, jak też czegoś innego w ogóle nie widzi. Tyle, że krajobraz (bardziej niż ostatnia historia) Śląska, przy swoim całym zróżnicowaniu, ma na moją percepcję wpływ scalający. Czuję się mentalnie i duchowo zintegrowany wiedząc, że należę do tej przestrzeni, która od 2000 lat, a pewnie dłużej, w prawie niezmienionym kształcie geograficznym trwa, upada i odżywa w paśmie między Odrą a Sudetami.

KL: A co możesz powiedzieć o krajobrazie Rzeszowa, Podkarpacia? Czy, poza Beksińskim, miałeś lub masz ważne związki z tym miejscem? Wizualne, pisarskie, duchowe, towarzyskie?

HW: To chyba w roku 1955 pierwszy raz w życiu spędziłem okrągły miesiąc w Jaśle na obozie artystycznym młodzieży śląskiej. Jasło było bardzo zniszczone, ale Krosno, Glinnik Mariampolski, Jedlicze, Gorlice – wszystko to i inne miejsca, których już nie pamiętam, dokładnie spenetrowaliśmy. Zabawne, ale właśnie wtedy w Jaśle zacząłem myśleć o fachu malarskim. W latach późniejszych doszły Bieszczady z ich tragiczną pustką.

Także Jarosław ze swoim legendarnym Liceum Plastycznym, gdzie miałem wielu kolegów. Nie przeoczyłem też Przemyśla i mogę powiedzieć, że – choć to dla mnie były geograficzne antypody – czułem magnetyzm tych okolic. Z końcem lat 60., gdy zaczęła się nasza komitywa ze Zdzisławem Beksińskim, Sanok stał się miejscem regularnych pielgrzymek. I ostatecznie – choć Beksiński umknął stamtąd, odwrotnie niż jego syn Tomek, który psychicznie nigdy Sanoka nie opuścił – to miejsce pozostaje dla mnie ciągle symbolem o wielkim ciężarze. Czuję to również poprzez sentyment do poezji Janusza Szubera, ale też mnóstwa osób, które Sanokowi wystawiają znakomite świadectwo. Nie muszę dodawać, jak wysoko cenię pisarstwo Mariana Pankowskiego z Sanoka.

Byłem jedną z dwóch osób, które w sierpniu 1968 odprowadzało do pociągu udającego się na emigrację Kalmana Segala, sanoczanina, który od wczesnych lat powojennych ubarwiał dość mizerne życie literackie Katowic. Nie będzie to czystą kurtuazją, jeśli powiem, że znając ten region dość powierzchownie, wyczuwam pewne jego pokrewieństwo ze Śląskiem już to przez podobny krajobraz, już to przez kulturową i etniczną złożoność. Może szkoda, że archiwum emigracyjnego pisarza ze Śląska, Jana Darowskiego, ostatecznie trafiło do Uniwersytetu Rzeszowskiego a nie do Katowic, ale nie wyobrażam sobie by tą spuścizną zajęli się tam równie czule i troskliwie, jak się to stało w Rzeszowie, cenionym zresztą przez innego Ślązaka, poetę i

tłumacza mieszkającego w Toronto, Floriana Śmieję. W każdym razie już wielokrotnie miałem okazję stwierdzić, że w Rzeszowie czuję się dobrze.

[1] Katalog wystawy: H. Waniek, *Obrazy utracone, obrazy odzyskane.*